



PRZYJAŹŃ

i

ZBRODNIA,

Powieść Oryginalna

w DWOCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

J. J.

CZĘŚĆ PIERWSZA.



W WARSZAWIE,

W Drukarni Łątkiewicza przy ulicy Senatorskiej No. 157

1829.



Za pozwoleniem Cenzury Rządowej.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN**

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-330 W. Stawa

Tel. 26-58-63, 26-52-31 w. 62

28/5

<http://rcin.org.pl>

Przyjaźń i Lbrodnia.

ROZDZIAŁ I.

NIEDALEKO od miasta . . ridy wznosił się zamek gotyckiéy budowy na wyniosłym wzgórzu, ubarwioném miłą zielonością; opodal od niego, smutne do koła gdzie niegdzie stojące zwaliska murów, świadczyły, że ten zamek obronną kiedyś musiał mieć postać. Za murami, głębokie rowy napuszczone wodą, a przez nie popsute mosty, stwierdzały to domniemanie. W okręgu tym, smutny i ponury panował widok; lecz przebywszy most przeciwko wejściu zamkowemu leżący, ten bowiem tylko ie-

zete zdatnym był do przeyscia, miła oku ukazywała się okolica; w odległości zielona gęstwa lasów, pola obfitością tchnące, porozrzucane rolników chaty, wszystko zajmującym to miejsce czyniło.

Już lato zbliżało się ku schyłkowi, a ubogi kmiotek cieszył się nadzieją plennego zbioru nadchodzącej jesieni; kiedy pewnego wieczora, obłani potem, okryci kurzem, w ubiorze myśliwskim Magduf i Alberti zbliżali się do zamku.

Magduf zamyślony, mając czoło zasępione gniewem, że traf nieszczęśny dał mu najpiękniejszą przepuścić zdobycz, milczał, przebywając most przedzamkowy. Alberti również, a może mniej jeszcze zręczny od niego, z próżną prawie wracał torbą, jednakże nie dręczyło go to bynajmniej, albowiem w łowach, tylko zabawę uważał. — Widząc Magdufa zagniewanego, rzekł: przyiacielu, cóż znaczy twój smutek, tajemny gniew wyryty na twoim czole? Alberti, odparł zawsze porywczy Magduf, niewidziałeś jak byłem niezręczny, i pytasz mi się iesz-

cze; najpiękniejszą przpuścić zdobycz nie jest że to godném oburzenia się? Magduf, dla czegożeś się w pogoń za nią nie udał, ani mnie za nią biedz pozwolił, tamtéy części lasu, bynajmniéy nie zwiedzaliśmy, tam byłoby zapewne czém sprawić ci ukontentowanie? Nie cierpię tamtéy strony lasu, rzekł Magduf, od chwili moiego przypadku. Wszak wiesz, że o mało życia nie stradał. Zawsze iesteś nieostróżnym i zapalonym Magduf. A ty zawsze powolnym i nazbyt rozważnym Alberti. Ale dość tego, spoczniemy raczém pod tymi morwami, a po chwili udamy się do zamku. To rzekłszy, rzuca od siebie fuzyą, zdeymuie torbę, i zalega na miękkiéy murawie. Alberti siada przy nim, milcząc obadwa.

Już ciemno-lazurowy widnokręg gwiazdą się nocy ozdobił, już i w zamku gdzie niegdzie połyskiwały światła, a Magduf iak w letargu prawie leży na ziemi. Alberti raz litośnym okiem na niego, drugi raz w Niebo spoziera, a widząc iak Magduf nie-raz ocucony okropnemi miotan był uczu

ciami, które w iednéy chwili kilkokrotnie
 zmieniały rysy iego twarzy, mówił sam do sie-
 bie: Ileż cierpień doznawać musi Mag-
 dufa, a iednakże powierzyć mi ich nie chce.
 O przyjacielu! gdybyś wiedział ile wdzię-
 czny za twoie dobrodzieystwa Alberti cier-
 pi na tém, iakby ci chętnie chciał przy-
 nieść ulgę, cierpienia twoie podzielić! Tu
 zamyślił się przez chwilę, a błogą wiedzion
 otuchą, Magdufie, rzekł, milczysz — a twarz
 twoja mimochętnie wydaie twoie cierpie-
 nia. Nie zechcesz że ich powierzyć wier-
 nemu Alberti? Nie znaszli ieszcze iego ser-
 ca, może on zdoła choć w części ukoić
 twoie troski, wszakże miło nam iest gdy
 nie sami cierpiemy. Pozwól mi, chociaż
 tym czynem, wywdzięczyc się za twoie dla
 mnie dobrodzieystwa. Przyjacielu, bracie,
 ty, co od dzieciństwa nędznęy sieroty z two-
 iey nie wypuszczasz opieki, nieodmawiaj
 mi téy iedynęy łaski, przerwij raz to u-
 porne milczenie. Jaki niepokóy udręcza
 twą duszę? Wiem że wyrzuty sumienia,
 nieznane są twoiemu cnotliwemu sercu, od-

kryi mi więc powód umartwienia. Alberti, przerwał Magduf, czy zapomniałeś twoiego przyrzeczenia? Mogęż o niém pamiętać gdy twoie cierpienia widzę? Moie cierpienia! któż ci powiedział że ia cierpię? Czyliż twoie milczenie, czyliż rysy twarzy, przed okiem przyjaźni, niedostateczną są mową? Magdufie!.... Ponawiam moją wolę, przerwał surowo Magduf, rzucając na niego groźne spojrzenie, znasz ją, proszę, racz ię dopełnić. To rzekłszy zerwał się z ziemi, zarzuca torbę, chwyta w dłoń fuzyą, i szybkim krokiem zbliża się do pałacu.

Zasmucony Alberti, zdala za nim postępuje; mowa Magdufa wycisnęła kilka łez z iego oczu, a zawiedziona nadzieia, smutkiem powlokła iego lica. O Magdufie, iakże nielitośnym iesteś, zawołał Alberti, widząc go wchodzącego w drzwi zamkowe, trwasz ciągle w milczeniu i boleśnie duszę ranisz. O gdybyś wiedział, ilu ta niewiadomość cierpien stała się już dla mnie przyczyną. Już od trzech lat postrzegam w nim nie-

pokóy, obawę, miła swoboda opuściła iego czoło, od trzech lat niewidziałem iaśnieiącéy na licach iego pogody. Na próżno myślę, nadaremnie badam powiernika iego Sebastiano, niczego dowiedzieć się niemogę. Tych słów domawiając, dochodzi do wystawy zamkowéy, a świadomy gniewu Magdufa, iuż nie do iego, lecz do własnego idzie mieszkania.

Nadchodzi chwila spoczynku; strudzony Alberti tak polowaniem iak myślami, niedługo zawiera powieki. Magduf po zwykłéy o tym czasie z Sebastianem rozmowie, także udał się do spoczynku. Ale nadaremnie szuka go na miękkim łożu, kiedy sumienie oddała go ziego oczu. Posępna lampa razi wątlým połyskiem iego oczy, zrywa się, gasi ią, sądząc że światło rozpędzając pomrok i sen iego usuwa! Czcze myśli, nie światło, niepokóy to duszy czyni. Nie mogąc zasnąć, dla skrócenia przykrego czasu przyzywa Sebastiana. Człowiek ten chudy, wysoki, czarno zarosły, a małe iego oczy, niekształtne, ale gęste brwi zacie-

niały, spoyrzenie miał prędkie i iak piorun przenikające. Ten to człowiek już od lat dwudziestu był w usługach Magdufa, znał wszystkie iego tajemnice, i będąc tegoż samego co i pan sposobu myślenia, umiał ie głębokim pokrywać milczeniem. — Ani postrachem, ani groźbami, ani podchlebstwem, ani nagrodą, zgoła niczém nie dałby się nakłonić do wyjawienia onych. Lubo na wszystko obojętny, chciwym był iednakże złota, i to téż tak ściśle wiązało go do Magdufa, nikt bowiem drożey nie mógł okupywać swoiey tajemnicy, i wynagradzać iego usług.

Sebastiano!.. już trzeci raz zawołał rozgniewany Magduf, gdy Sebastiano stanął przy nim. Dla czego nie słuchasz gdy cię wołam? rzekł Magduf. Udałem się na spoczynek, sądziłem że i ty panie spać będziesz. Spać, przerwał Magduf, spać, i ty spać możesz Sebastiano? Dla czegóżby nie, odpowiedział tenże z krwią zimną. Mamże ia się różnić od innych ludzi? dzień cały czuwam i nazbyt dobrze czuwam, pożąda-

ną mi więc nocna pora. A ia, rzekł Mag-
 duf z udręczeniem boleśnym, pomimo ca-
 łodziennego strudzenia, snu kosztować nie-
 mogę. Ale, bo też panie za nadto myślisz
 o przeszłości, co się stało; trzeba puścić w
 niepamięć; to pewna że gdybym i ia o niéy
 myślał, moje posłanie podobnoby goręt-
 szém było od rozpalonego żelaza, ale na-
 zwałbym się głupim, gdybym miał my-
 śleć o tém co mi cierpienie przynosi. Pa-
 nie, i pan zrób toż samo, a ręczę że lepiéy
 będziesz mógł zasypiać. Sebastiano, w mo-
 ieyże to mocy nie myśleć o tém co mi wy-
 rzuca sumienie; kiedy każdy przedmiot co
 mię tu otacza, moię niesprawiedliwość przy-
 wodzi mi na pamięć. Sumienie! przerwał
 z uśmiechem ironicznym Sebastiano, su-
 mienie, iest to uroiony potwór ludzi którzy
 niezupełnie prostą postępuią drogą, ale mia-
 łożby to zmyślenie tak wielką moc posia-
 dać, aby zdołało słabością obarczać du-
 szę Magdufa? Nie, temu panie nie wierzę,
 sposób twoiego aż dotąd postępowania
 wątpić mi o tém każe. Mylisz się Sebastia

no, sumienie, nie jest podobną do ciebie istotą, której złotem głośno odzywający się krzyk przytłumićby można, ono gdy całe przyrodzenie odzywa się, głośniej jeszcze przemawia, gdy natura snem się cieszy, ono nie zasypia i sen odtrąca z powiek, zawsze czuysne, zawsze nieodstępne i zawsze dręczące, ciosami śmierci rani wnętrzości, rozrywa zbolełe serce i życie w pełne męczarni konanie zamienia. Dobrze więc, odpowie Sebastiano, że ja nie znam tej truiący istoty, możebym i ja równe, a kto wie jeżeli nie większe znośił udręczenia. Niemogę jednak powiedzieć, abym zupełnie był wolny od wewnętrznych iakichś dręczących uczuć, ale mam na nie sposób, natychmiast w zapaśney naszej piwnicy te udręczenia w swobodną zamieniam wesołość. Niech i pan tego użyie sposobu, może mu także skutecznym będzie. Usłucham twoiey rady, zapal lampę i podaj mi wino. Sebastiano natychmiast wypełnił iego rozkazy. Magdus wychylił kilka kielichów, i wkrótce ciemna czerwoność

z żółkłe pokryła oblicze. Zmarszczone czoło wygładziło się nieco, a Sebastiano widząc skutek lekarstwa zawołał z uśmiechem: Niech żyje napóy co łagodzi nasze troski! Teraz nieledwiebym się założył, że wkrótce i sen się znajdzie. A tak owo czuyste, nieodstępne sumienie ułagodziło się winem. Widać, że moc iego nie tak wielka iak mówiłaś panie. Milcz Sebastiano, przerwał Magduf, a po nieiakiéy chwili przydał: czy mi się zdawało, czyli téż mówiłaś mi, że mała iakaś dziewczyna była w zamku, że list do mnie przyniosła, żeś go nieodebrał. Tak panie w istocie tak było, ale wypchnąłem dzieciucha, wiedząc czyim był posłańcem. Trzeba było iednak list odebrać, rzekł Magduf. A to na co; panie, iak widzę, wino umarżając sumienie wraca cię słabości iest to przepowiednia zbliżaiący się snu chwili. Tém lepiej, to mnie mocno cieszy, albowiem i ia prędzéy udam się do upragnionego spoczynku. Kiedy ci się tak przykrzy, zgaś światło i odeydz. Zawsze po-

słuszny a szczególniey podobnym rozkazom, wyszedł Sebastiano.

Światłość lampy księżyc swoją iasnością zastąpił, w pełném roztoczony kole, miłym czynił pomrok nocy. Lecz nie dla Magdusa wdzięki przyrodzenia, dla tych tylko, co serca mają tak czyste iak pogodne niebo. Odwrócił się więc Magdus i wkrótce silna moc wina zawarła jego powieki.

Ostróżny Sebastiano, obeyrzawszy wprzódy drzwi wszystkie, pogasiwszy światło, udał się do swojego mieszkania, a przechodząc obok drzwi prowadzących do sypialni Albertego, mruknął coś niezrozumiale, zmarszczył czoło tak że brwi jego złączyły się tworząc ieden tylko łuk prawie. Nie lubił on Albertego, a nienawiści téy łatwo można było odgadnąć przyczynę. Albert był cnotliwym, a wszystko co było cnotą, było wrogiem Sebastiana, i iuż dawno byłby wtrącił tego nienawistnego sobie przyjaciela swojego pana, wzgubne zasadzki, gdyby nie wyraźny zakaz Magdusa. Obui

rzony iak zwykle, rzucił się na twarde łoże i zlorzecząc Albertemu zasnął.

Nieszczęśliwy młodzieniec, opuszczony od wszystkich, nieświadomy losu rodziców, od niemowlęctwa prawie zostawał w opiece Magdufa, nie wiedząc, czyli go bratem, czy przyjacielem tylko nazywać; ale ostatnie miano zawsze mu dawał, bo to iego było własną chęcią. Lubo prowadzony w drodze życia dłonią Magdufa, nie miał iednakże równych z nim uczuć; sam iakiekolwiek pobierał wiadomości w bibliotece zamkowej, z radością przyjmował do duszy wszystkie zasady cnoty, i postanowił ią tylko samą mieć za przewodnię. Cnota powiodła go do swéy siostry religii; poznawszy Boga, iego wszechwładność czystém sercem, mógłże nie stać się dobrym? Nie znane mu były zgryzoty, nie znaną żadna obawa; pokóy, długo był iego udziałem i w ten czas dopiero poznał co iest cierpienie, gdy opiekun i dobroczyńca iego widocznie ukazywał dręczące go męczarnie. Tkliwością z przyrodzenia obdarzony, nierazły wyra-

niał widząc niepokóy Magdufa. On iedyną był iego myślą, on celem wszystkich życzeń, za iego pokóy codzienne wznosił modły do Boga. W tym stanie rzeczy dwudziestéy drugiéy dobiegł iesieni. Przyrodzenie zgodne z pogodą duszy, wdziękiem nieokreślonym ozdobiło iego oblicze. Niebieskie żywe oko, ciemnymi otoczone rzęsy, męzka białosc lica kraśnym ozdoba rumieńcem, długie w pierścienie zwite iak heban czarne włosy, kształtna postać, wszystko to miłym, zajmującym czyniło młodzieńca.

ROZDZIAŁ II.

Zaledwie pierwszy promień intrzenki ukazywać się zaczął w purpurowéj szacie na widnokręgu, ieszcze nawet i księżycy świetne koło nie utraciło swego panowania, a iuż ostróžny i baczny Sebastiano, porzuca twarde łoże, i stary miecz przypasawszy do boku, opuszcza z cicha zamkowe podwoie i udaie się ku téj stronie lasu, któręj paniego unikał, chociaź nie zawsze. Obmierzłemi zaięty zamiarami, z oczyma zwróconemi ku ziemi, zbliżał się ku małej i nędznej chatce; lecz zaledwie postrzegł ocucony z zamyślenia, że iuż był iey blisko, iak piorunem rażony, cofnął się o kilka kroków w tył i natychmiast w gęstwę krzewów się zagłębił. — Opuśemy na chwilę sprosnego złoczyńcę, a dowiedzmy się raczey, co było powodem że tak przeraził się na widok nędznej chaty. Wzniesiona u stóp nie wielkiego wzgórza, zacieniona kilką oli-

wnemi drzewy, stała samotna, wszystkie inne były od niéy oddalone, tak iak gdyby gardziły iéy mieszkańcem. — Któż nim jest?

Nędza, ubóstwo wydaie się w wszystkich zakątkach téy nikczemnéy chaty. Młoda, i piękna ieszcze, chociaż bladością cierpién pokryte ma lica, zamieszkuje ją kobiéta. I ona takżé iuż porzuciła łożé, iuż o chwiliący się stół oparta, łyzy leie, na łyzy ieszcze nie oschle z dnia wczorayszego. Spoziera osłabionym wzrokiem na małe niemowlę które z mlekiem matki cierpienie iéy wyssało i piętno onego na niewinnéy nosi twarzyczce. Nieco daléy, zasypia mała dziewczynka, którą sobie czytelnik zapewne przypomni, na garści rozrzuconéy słomy. O iak nędza dzieci okropniéyszą jest dla matek, nad własną nędzę! Dopóki mogą, z własnym uszczerbkiem, dodaią wygod dziecięciu, lecz kiedy iuż ostatnie zaginą sposoby, kiedy nadeydzie chwila, w którój nędza matki i dzieci staie się udziałem, o iak straszliwym i bolesnym na

ten czas jest stan cnotliwego iéy serca. Nie mogąc pracą dostatecznie onych wyżywić, każdy kęs chleba od zgłodniałych ust swoich odeymuie i dzieciom oddaie, dla niey łyzy napoiem, łyzy pokarmem. Po dwakroć nieszcęśliwa, raz że uboga, drugi raz że od wszystkich wzgardzona; nikt z okolicy nie chce wesprzeć biednéy Rozamundy. Każdy iéy stroni, każdy nią pogardza, nazywając występłą tę, która miłością uwiedziona, w obłudnéy zdrady wplątać się dała sieci. Już zapadły iéy oczy czerwonością pokryte, z ciężkością łyzy wyraniaiają, raz w patruie się w dzieci, drugi raz w niebo, łkaiąc i głośnie wydaiąc westchnienia. Gdyby kto wiedział iak okropne ią w ten czas zajmowały myśli, mógłby mniemać, że nazbyt mało przywiązana była do dzieci.

Już trzeci dzień upływa, rzekła do siebie z cicha Rozamunda, a nie widziałam moiego pana, nie przysłał nawet do mnie; miałżeby mi iuż i tę pomoc usunąć? miałżeby zapomnieć, iuż nie powiem o kochance, o żonie, lecz o matce iego dzieci? Boże, mia-

łożby tak zupełnie zmienić się serce Mag-
 dufa? Nie, to byź nie może; rady to prze-
 wrotnego Sebastiana, tego obmierzłego słu-
 żalca, odwodzą go od przywiązanej doń
 Rozamundy. Ten co ją tak kochał, który
 ją wyżey nad swe życie cenil, niemógłby iey
 tak prędko zapomnieć! Przed rokiem ies-
 czem mu drogą była, ieszcze pieścił się z
 ulubioną iego Karoliną, a dziś iuż iey przystę-
 pu zabrania Sebastiano do zamku. Pewną
 iestem, że gdyby ją był Magduf widział,
 bylby ją przyiał, bylby przeczytał list, i
 dziś może, byłabym w uściskach iego! . .
 Nieszczęśliwa! po cóż te płonne nadzieie!
 iuż te czasy dawno zniknęły, kiedy miłość
 Rozamundy, drogą była Magdufowi. Je-
 szcze w ten czas luby syn mój nie oglądał
 świata. Sądziłam, że on mocnięy go ies-
 szcze do mnie przywiąże! Niestety! zdaie się
 iakoby z uyrzeniem iego, szczęście moie za-
 ginęło. Już choręy nie odwiedzał tak czę-
 sto Magduf, iuż Karolina miłych nieodbie-
 rała pieszczot, iuż nawet i na Rozamundę
 kiedy niekiedy tylko, i to litosne zwracał

spójrzenia. Nie mogłam ich w ten czas zrozumieć; sądziłam, że to stan mój wzbudzał w nim politowanie; . . . przebóg! on już w ten czas zapominał o mnie. W czynźe mu przewiniłam? miałże zbytek moiéy miłości, nienawiść iego ściągnąć? . . . Może też inną kocha. Inną! powtórzyła z bolesném westchnieniem, i potokiem gorzkich łez oblała lica.

Po chwili milczenia, w którem uciśnione iéy serce, tylko myśl do Boga, do iedynej nieszczęśliwych pociechy, wznosić dozwalało, Ty, Oycze wszystkich opuśczonech, zawołała: Ty, sprawiedliwy Sędzio, karz mię surową Twoią prawicą za moje przewinienia, lecz ocal niewinne istoty, czemuż one cierpieć mają za błędy matki? Wydrzék mi życie, bo dzieciom żadnego z siebie przykładu dadź nie mogę, lecz niech Magdus o nich pamięta, niech ie tak kocha, iak mnie kochał kiedyś, iak ia go kocham dotychczas, a będą szczęśliwe? Te ostatnie wyrazy z tak głośném wymówiła łkaniem, że przebudziła się Karolina i przestraszo-

na zawołała: „Mamo! czy to ty?” Ja, mo-
je dziecię, odpowiedziała Rozamunda, bądź
spokojna, spiy jeszcze rano! Mnie każesz
spać matko, a sama iuż płaczesz? Nie płaczę,
móia córko. — Zapewne nasz oyciec, rze-
kła Karolina, nie przysłał nam i dziś po-
silku, ten nie dobry Sebastiano niechciał
mnię wpuścić do zamku. Mamo! dla cze-
go tak dawniey niebywało? Czy pamiętasz,
że nim, oyciec w te mieysca przenieść się
nam kazał, sam Sebastiano przynosił ci nie-
raz po kilka sztuk złota, któremi się tak
często bawiłam, a dziś nawet i chleba nam
odmawia. Przestań dziecię moie, nie rań
bardziey jeszcze zakrwawionego serca. Wasz
oyciec dziś zapewne sam przyidzie, dla te-
go Sebastiano niepozwoił ci wayść do zam-
ku. Day Boże! aby przyszedł, rzekła z
płaczem Karolina, iuż go od dwóch dni
wyglądamy z utęsknieniem. Nawet i do-
bry dziadek iuż o nas zapomniał, kiedyśmy
u niego mieszkali po za lasem, zawsze on
mamę pocieszał, zawsze... O! przestań dzie-
cię moie, przerwała matka z przestraczem...

ten czcigodny kapłan, niewie gdzie iesteśmy, byłby nas pewnie odwiedził. To wyrzekłszy, zbliżyła się do córki, siadła przy niéy, a położywszy obok niéy swoją głowę, przytuliła ją do łona, i znowu miła Karolina zasnęła.

Uśpiwszy córkę, matka zaięła się robotą, ciągle iednak spoglądała na drożynę ku zamkowi iak daleko tylko okiem zasięgnąć mogła; ktokolwiek przeszedł zdawało iéy się że to luby iéy Magduf, że iéy pomoc i miłość swoją niesie. Niestety, nieszczęśliwa Rozamundo! nie pokładay już w nim nadziei. Twoje przeczucia sprawdzone. Magduf już inną kocha i wkrótce może poymie ją za żonę.

ROZDZIAŁ III.

Po nad płynącą tam rzeką ... diana, wznosi się skał urwisko, zasłonięte od wody gęstym krzewów zaroślem, a od zamku nieprzejrzanym prawie lasem. Wpółrodku tych skał, znajduje się pieczara która służyła może kiedyś za legowiska dzikiego zwierza, a teraz jest ochroną nie zwierząt, ale może dzikszych i sroższych od nich ludzi. Nigdy promienie słońca nie dochodzą wnętrza tej piekielnej jaskini, zdaje się, jakoby ono odwracało swoje światło od obmierzłego zbrodni mieszkania. Już poranna zeszła zorza, a tam jeszcze pomrok nocy panował; nie zasypiali jednak iey mieszkańcy, a ieden z nich stojąc na najwyższym urwisku, ukryty za dębem którego szczyt grom piorunu zgruchotał, bacznym okiem śledził na wszystkie strony, wyglądając rychło kto wpadnie w ich ręce. Już noc całą strawił na czatach i zlorzeczył gło-

śno losowi że mu żadney nie zesłał zdoby-
czy. Przeklęta noc, zawołał, ani iedney
żywéy duszy!...iuż dzień po za rzeką uka-
zywać się zaczyna, iuż widać zdala zaru-
mienione scyty klasztoru Hieronimitów,
i trzeba będzie znowu dzień cały bezczyn-
nie spędzić?... Gdybym uyrzał kogo, sam-
bym nań uderzył i bez pomocy moich ko-
legów wypróbnilbym iego kieszenie... Ale
co widzę... tam za krzakiem... czy mi się
zdaie, tak, ktoś idzie, piekło mi go nasyła....
może też to... Tu się zatrzymał i po chwi-
li namysłu, trzykrotnie w drzewo pałaszem
uderza. Takąż samą wkrótce odbiera od-
powiedź, to ieden z naszych, rzekł ze smut-
kiem i ze złości uderza ręką w czoło mar-
szkami okryte; zapewne Sebastiano, iego
bowiem tylko niedostaie, zawsze po nad
rankiem przychodzi aby się dzielić zdoby-
czą, ne należąc do wyprawy. To ty Vi-
dléy? rzekł Sebastiano zbliżywszy się do
niego. Ja sam, odparł niechętnie Vidléy.
Cóż tam nowego zapytał znowu Sebastia-
no. Nic, odpowiedział Vidléy, noc nada-
re-

remnie stracona. Już ta część lasu rzadko cieszy się widokiem podróżnych, a od ostatniego wypadku który trzech przeieżdżających życiem kosztował, często widzieć się nam dają, gromady zbroynego żołnierstwa; radzę ci Sebastiano abyśmy przenieśli nasze stanowisko. Za bardzo blisko iesteśmy miasta, łatwo wyśledzić nas mogą. Pomyślemy o tém, rzekł Sebastiano, lecz ieszcze kilka dni musicie pozostać w tém miejscu, rzeka nadzwyczajnie przybiera, może nam to iakie przynieść korzyści... rozumiesz mię Vidlę? Rozumiem, odparł tenże z zbrodniczym uśmiechem—A potem, rzekł dalę Sebastiano, będziecie mi wkrótce potrzebni, przedstawię was moiemu panu iako dawnych moich znaiomych, usłużnych wieśniaków, dopomożecie mu do dopięcia wielkiego zamiaru; a gdy go do skutku przywiedzie, ręczę wam, że sowita czeka nas nagroda. Zeby tylko iak nayprędzēy, przerwał Vidlę, potrzebował naszēy usługi, iuż trzeci dzień trawimy beczynnie, szczęście że powóz co się stał naszą



zdobyczą dobrze był zaopatrzony, byłoby nam bowiem zabrakło zapasów. Ale powiedz no mi kochany Sebastiano, w czymże my będziemy mogli pomódz twoiemu panu? pytał się Vidlę, prowadząc go do iaskini. Jeszcze to jest tajemnicą dla mnie, odparł Sebastiano, wkrótce dowiecie się o wszystkiem. Tych słów dokończając stanął w iaskini, ośmiu zarosłych zbrodniarzy ią zalegało; iak go tylko postrzegli, natychmiast wszyscy powstali, i z uszanowaniem które przymus wyciska, otworzyli mu przeyscie.

Przyjaciele, rzekł do nich, wkrótce nim zmienimy nasze stanowisko, ważną przedsięwzięciem wyprawę. Mam nadzieję, że iak w każdéy tak i w téy, pomyślny skutek uwieńczy nasze usiłowania, i tym sposobem obfitą przyniesie nam korzyść. Na każde zawołanie moje bądźcie gotowi, niewiadoma mi bowiem chwila, kiedy wasza pomoc będzie mi potrzebna. Znasz naszą gorliwość, odpowiedział Vidlę, bądź pewnym że niezawiedziemy twoiego zaufania, i staniemy się ciebie godnemi. Oh moi

bracia, gdyby życzenia moiego pana zgodne były z moimi, wiecie już czyiabyśmy krew przeleli. Ten obmierzły Alberti, wkrótce by uyrzał Elizeyskie pola, on to odbierał mi do tyczas ufność naszego pana, ale też jego pocziwość już teraz za moiém staraniem przykrą mu bydź zaczyna; już ta nierozzerwana przyiaźń wątlęmi bardzo spoiona ogniwy, wkrótce może zupełnie się zerwie. Oby iak nayprędzėj ten czas mógł nadeyść, a będę z niego umiał korzystać! Dla czegoż, przerwał Vidlėj, twój pan aż dotychczas tak szczególnięszym sposobem opiekuje się tym Albertim? zkądże ta litość, zkąd ten przymus, ta powinność względem iednego nieznaíomego stworzenia? Nie iest on tak nieznaíomy iak wy myślicie, odparł Sebastiano, i dla tego też tym bardziěj gniewem mię postępek moiego pana oburza, że ocalił z moich rak życie tego, który się może kiedyś zguby iego stanie przyczyną. Jakto? zawołała zgraia złoczyńców, baczne nadstawiając ucho, i natężając u-

wagę. Tak, rzecze Sebastiano:—Alberti jest... ale, co chcę mówić... przysięga krępuie moje usta, a własna nienawiść wzmocnić ją jeszcze powinna. Nie, przyiaciele, nie mogę wam téj tajemnicy wyiawić; to tylko powiadam, że gdyby mię edno słowo moiego pana zachęciło przeciw Albertemu, wmgnieniu oka, przesłałbym go na szczęśliwszy świat, i usunął z mych oczu tę nieskażoną cnotę. Ostatnie te wyrazy, z piekielnym wymówił uśmiechem, a oczy iego zabłysły tą zemstą, coby się iuż we krwi zgubionéy ofiary poić chciała.

Ponure milczenie panowało przez chwilę; wszystkich oczy w lepione były w Sebastiana, który z dziką radością i zskamieniałym uśmiechem, dobywszy z zanadrza sztyletu, zdawał się godzić w serce swojego wroga. Zbliża się do niego Vidlę—Sebastiano, zawoła, co czynisz? Gniew zbyt nie cię zapala, więcej krwi zimney w naszym stanie potrzeba. Przygaś go więc, rzekł dalę, podaiąc naczynie mocnym na-

pełnione trunkiem. Chciwie porwał ie Sebastiano, a przytknąwszy do ust gniewem spiekłych, wypróżnił ie aż do dna. Potém odetchnąwszy—ah przyjaciele, rzekł, kiedy uyrzę śmierć Albertego, w ten czas dopiero pierwszy dzień szczęśliwego życia dla mnie zabłyśnie. Ale, za długo z wami tu się bawię. Już słońce zapewne iest wysoko, muszę wracać do zamku—wkrótce się zobaczymy, a pamiętajcie byźd gotowi na każde moje zawołanie. To rzekłszy, ostróżnie opuścił skał urwiskaimijając zdała chatę Rozamundy, powrócił do zamku.

ROZDZIAŁ IV.

ZALEDWIE wszedł w drzwi zamkowe, dała mu znać że już kilka razy pan przywoływał go do siebie. Odpasawszy więc co prędzcy, nieraz krwią ludzką miecz zbroczony, pobiegł do sypialni Magdufa; wchodzi z cicha, widząc że Magduf ieszcze leży, spogląda na niego, widzi że nie śpi, lecz pilnie wpatruie się w iakaś małą miniaturę, nie była mu ona nieznaną; a wiedząc że ilekroć razy Magduf stawiał ją sobie przed oczyma, tylekroć straszne obudzał w duszy cierpienia.—Panie, rzekł, staję na twój rozkaz. Magduf usłyszawszy głos którego z razu w zamysleniu nie poznał—Kto tu iest? zawołał, skwapliwie obraz chowaiąc w zanadrze. Ah to ty Sebastiano, przecięż przychodzisz, już tak dawno cię wołam—gdzie byłeś tak rano, czy nie u Rozamundy? Nie Panie, wszakże przysiągłem, że nigdy noga moia w téy nędzney

nie postanie chacie—a ia umiem dotrzymywać przysięgi. J ty panie, dobrzebyś uczynił, gdybyś podobnie iak ia postąpił. Prócz tego, niedawno przybyłe, o małą tylko milę odległe sąsiedztwo, więcéy teraz od niéy, spodziewam się, ma dla pana powabów. To prawda, odpowiedział Magduf, lecz Rozamunda . . . iuż iéy trzy dni niewidziałem, ty nie poniosłeś iéy żadnego wsparcia, może nieszczęśliwa . . . zakończyła życie, chciałeś pan powiedzieć? tym lepiej, prędzéy pan będziesz wolnym. Jak to wolnym? przerwał Magduf, sądzisz więc że związek który z nią zawarłem iest prawdziwym? wszak wiesz że dla iéy spokoyności dokonał, i że natychmiast rozwiązanym bydź może. Miałżebym ia o tém zapomnieć?.. Cóż więc niewolą nazywasz? A dzieci Rozamundy?.. Czyliż mnie śmierć iéy od nich uwolni?... Uwolni, zaręczam za to, rzekł z zbrodniczym uśmiechem potrząsając głową, po śmierci matki, łatwo dzieci pozbydź się będzie można. Coś wyrzekł niebaczny! nie zapominay że do Magdufa

mówisz! Pamiętam o tém dobrze, mruknął cicho pod nosem Sebastiano. Żadna moc ludzka, rzekł daléy Magduf, nie zdoła się targnąć na ich życie, ja bronić ich będę. Kochałem Rozamundę, uczyniłem ją nie-szczęśliwą, a dzieci iéy . . . tu słowa skonały na ustach. A dzieci iéy takiemiż uczynisz, dokończył cicho Sebastiano.

Po chwili milczenia, ozwał się Magduf, idź, dowiedz się gdzie iest Alberti, co robi i day mi znać natychmiast. Posłuszny Sebastiano odchodzi.

Alberti równo ze wschodem słońca słodki rzuciwszy spoczynek, do zwykłego udał się zatrudnienia. W małym pokoiku do którego prowadziły drzwi iego sypialni, lubił czytywać ulubione swoje dzieła, i tam to siedzącego zastał Sebastiano. Zagłębiony w ułatwieniu sobie trudności naukowych, nie postrzegł go nawet, ten też nie rzekłszy i słowa, poszedł oświadczyć czynność iego Magdufowi.

Sebastiano, wiadome ci są stosunki, rzekł doń Magduf, gdy się dowiedział że Alber-

ti zwykłą był zaięty pracą, które zdaią się przybliżyć mój związek z familią szanownego Valverdi. Wyznaię, że to połączenie, nie raz okropnych nabawia mię myśli, gdyby ten cnotliwy człowiek wiedział, że Magduf któremu córkę przeznacz za żonę, iest nieprawym nabywcą tych posiadłości, zapewneby mi odmówił swéy córki. Od kogóż się o tém dowiedzieć może? odparł Sebastiano, ia tylko sam, świadomy iestem téy tajemnicy; a spodziewam się, że iuż dałem ci panie dowody iak milczeć potrafię—gdybym nawet powziął kiedy tę haniebną myśl zdradzenia cię, samo wspomnienie czyim stalbym się dobroczyncą, zatamowałoby głos w piersiach, a nienawiść zawarłaby usta. Sebastiano, rzekł Magduf, nie obawiam się niczego z twoiéy strony, lecz gdyby stary... wiesz o kim chcę mówić, żył ieszcze... gdyby się tu ukazał!.. mógłżebym znieść iego spojrzenie? na iego widok nie rzucić się mu do nóg i—Wstrzymay się panie... nie trwoż duszy próżną mową, iuż od nieiakiego cza-

su nie poznaię cię zupełnie—iakaś tkliwość na uroione sumienie, iakieś przeczucia, niepokóy, udręczenia tobą miotaia panie: gdybyś przynayimnię miał powód do tego.... Sebastiano, małoż powodów! takaż wdzięczność za dobrodzieystwa starcowi!. on mię wychował, obsypał bogactwy, które i bez zdzierstwa iego dziecięcia, szczęśliwy byt mi zapewniały. Oh czuię że potrzeba tylko iego ukazania się, abym mu wszystko powrócił. Co się tego tycze, to bądź pan spokojny, bo gdyby wszystkie wieści o iego śmierci płonnemi były, gdyby się tylko ukazał, potrafilbym wprzód go z żyjących wymazać liczby, nimby nam mógł zaszkodzić. Sebastiano, ty zgrozą mię przeymujesz. Smiałżebyś targnąć się na tę siwą głowę. Prędzěj iak na czarną, odparł ohydny zbrodzień z uśmiechem, bo mnieyszego spodziewałbym się oporu, a niezawodnego zysku. Więc tylko zysk wszystkie mi twoiemi kieruie czynnościami? zapytał Magduf, więcbyś dla zysku zabił człowieka? Panie, rzekł Sebastiano, wszyscy

ludzie zysku tylko patrzą, i każdy iak może przyciągnąć go stara się. Nie ieden z wielkich panów, gdyby weyrzał poczciwie w siebie, możeby i iednéy garści ziemi nie znalazł w swoim majątku, która by sprawiedliwą była iego własnością, ale że wielkim panom wszystko uchodzi... Milcz Sebastiano, przerwał Magduf rozgniewany iego przymówką—wychodzę—gdyby Alberti chciał wkrótce po mnie wyjść z zamku, staray się go czém zatrudnić, dopóki bym nie doszedł do lasu. To rzekłszy, szybkiego dosiada bieguna i drogę do chaty Rozamundy obiera. Nie spuszcza go z oka Sebastiano, a nieprzyjaciel zacięty tych wszystkich którym pan iego sprzyia, już knuie zgubne sidła dla Rozamundy i niewinnych iéy dzieci. Obmierzła rodzino, mówi do siebie, kiedy cię nie mogę obrzydzić Magdufowi, postaram się o lepszy sposób usunięcia cię ziego pamięci. Pewno im znaczny niesie zasilek; roztkliwiony wspomnieniami przeszłości, opuścił zamek, a w takich chwilach, naynikczemniejszém

uległy słabości, dałby się dziecku powo-
dować, opuściłby wszystko, wyjawił ca-
łą tajemnicę, nie szcędząc nawet i życia
swoiego. Rozamunda zna dokładnie iego
serce, możeby z czasem potrafiła korzystać
ziego słabości, możeby iéy udziałem ogro-
mne stały się bogactwa; a ia, który dla
przyszłych tylko widoków siebie całego
poświęcam, i moją uległością i posłuszeń-
stwem staram się iego ufność pozyskać, ia,
miałbym byź zawiedziony w moich na-
dzieiach? — Nie, do tego nigdy nie przyidzie,
bo co się tycze połączenia z panną Val-
verdi, o to zupełnie spokojny iestem,
wiem, że nie wdzięki téy przechwa-
lanéy piękności, ale zamożny stan iéy
oyca, nadobną ią w iego oczach czyni,
i zamiarami iego kieruie. Zręcznie go w
téy mierze wybadam, a ieżeli mój domysł
mnie nie myli, tedy i bez połączenia się z
panną Valverdi, maiątek iéy oyca zdołamy
wcielić do naszego.

Jeszczeby go dłużej zbrodnicze zaymo-
wały myśli, gdyby zbliżenie się Alberte-

go nie było ich przerwało,—Sebastiano zapytał się, czy Magdus już wstał? Już, odpowiedział niechętnie, i właśnie w téj chwili wyszedł, kazał mi oświadczyć panu, iż byś zczekał na niego w zamku, ma bowiem wkrótce powrócić. Uczynię zadosyć iego żądaniu, odparł Alberti, wracając do swego pomieszkania. Uśmiechnął się Sebastiano, tym uśmiechem wyrażając zadowolenie, że fałsz tak piękny odniósł skutek.

ROZDZIAŁ V.

A co Mamo? zapytała się łkając mała Karolina, nie widać jeszcze naszego Ojca?— Wkrótce przybędzie moja córko, odpowiedziała płacząc Rozamunda, i znowu zwróciła łzami zalane oczy ku ścieżce prowadzący do zamku.—Mamo, iabym wyszła przed chatę, lecz się obawiam tych niedobrych, dzieci, które mi bawić się nie pozwoliły z sobą; każde mnie tylko potraçało—Mamo, ia im nic złego nie zrobiłam, dla czegoż one mnie nie lubią? O iak ta niewinna mowa dziecięcia, głębokie tkliwemu sercu matki rany zadawała. Ta pogarda, sroższą była nad wszystkie cierpienia. O Magdusie, dla czegoż świat nie wieżem iest żoną twoią! rzekła z cicha do siebie Rozamunda. Mówileś mi, że twoi rodzice zabraniali ci połączyć się ze mną, że obawa bym się kiedyś nie stała posiadaczką twoich dóbr, rozkazem ich włada. Ah mę-

żu, zrzeknę się bogactw, ogłoś mnie tylko twoją żoną, zniszcz ścigającą mnie wszędzie wzdarcę, oddal nędzę od moich dzieci, a będę szczęśliwą. Nędzę!... powtórzyła z bolesném westchnieniem, zdroiem łez okrywając lica! Magdusie takążes mi przyszłość obiecywał? Mamo, mamo, ty znowu płaczesz, przerwała Karolina całując iéy ręce? O dziecię moje! zawołała, i przyciskając swe usta do głowy Karoliny, umilkła. Po chwili, znowu rzekła, ty pociecho moja nie smuć się przynajmniéy, oycia tylko co nie widać, wszak wiesz, że zawsze o téy porze nas odwiedza. Mamo, iuż trzeci dzień na próżno go wyglądamy, dawniéy, ani iednego dnia nie opuścił, i czasem kilkakrotnie przez dzień nas odwiedził, a teraz... mamo, dla czego to? czy iuż oyciec nas nie kocha?... Cicho, przerwała z radością Rozamunda, spoglądając na ścieżkę, zdaie mi się że to on idzie, pobiegniy przeciw oycu. Z radością poskoczyła ku drzwiom Karolina, a Rozamunda ocierając łzy, zapomniała spostrzegłszy go o wszystkich do-

legliwościach. W mgnieniu oka znikły wszystkie troski, i kiedy ją Magduf do swego przycisnął serca, byłaby téj chwili nie mieniała za skarby całego świata. O miłości! iak cudowną prawie twoja władza, ieżeli prawdziwie kochamy, z iakąż łatwością przebaczać nam każesz błędy kochanego winowaycy, i w iednéj chwili wygładzasz z naszéj pamięci to wszystko, co przedmiot miłości zadał cierpień sercu. Jeden iego uśmiech, iedno tkliwe weyrzenie, ieden uścisk, niewymowną sprowadza rozkosz. Oh kiedy Magduf przycisnął ją do swego serca, kiedy mu tulącą się do nich podała Karolinę, kiedy przebudzone niemowlę, wyciągnęło drżące ku niemu dłonie, i kiedy litości pełnemi spoyrzał na nie oczyma, w których zdawała się odzywać dawna czułość kochanka, męża, oycza — ah, ktoż w ten czas nad Rozamundę która umiała czytać w tém spoyrzeniu, mógł się szczęśliwszym mienić! Mężu, żono, oycze, te tylko wyrazy często powtarzane słyszeć się dawały. Wypogodziła się twarz Magdufa, lek-

ki rumieniec radości przebił się przez zbledniałe zgryzotami lica, i po długim ucisku, pierwszy raz wolniéy odetchnął. Boże! iakże dziwne są twoie zrządzenia! W zamku, gdzie wszystko dostatek, obfitość zaświadcza, w tym zamku gdzie każdy poddany drży na jego skinienie, w tym zamku Magduf ukrywa starannie przed każdym swoje spojrzenie, chciałby nawet parę z ust wychodzącą utaić; a tu, gdzie nędza piętno swoje wyryła, tu w biednéy chacie, swobodnie dookoła poziera, spokojnie wpatruie się w Rozamundę, widzi w szczupléy swoiéyrodzinie nayszczérsze przywiązanie—kiedy tam, lubo także onego używa, lęka się tego przywiązania, co za iedném ziego ust wyciśnioném słowem, zamieniłoby się w nienawiść, wzgardę i wieczną dlań stało się ohydą. O Magdufie, zrzec się bogactw, wyrwij z twéy duszy tę zgubną namiętność, wróc na łono Rozamundy, fałszywy ślub uczyn prawdziwym, a zakończysz dni w cichéy swobodzie; w prawdzie, nie opływając w dostatkach i bogactwie, ale droższe-

go ieszcze używając dobra, bo czystém cieszyć się będziesz sumieniem. Ta myśl zapewne przesunęła się w wyobraźni Magdufa, kiedy spoglądał zamyślony na otaczające go istoty. Chwila milczenia, była chwilą wyboru stałego przedsięwzięcia. Już ie zamierzył, lecz niestety! nagle zachmurzenie czoła, ponurość wrócona weyrzeniu, szyderski uśmiech iawnno poznać daia, że choć podła, przewyższyła myśl cnotliwą. W iednéy chwili przerażona Rozamunda i lękliwa Karolina, spojrzawszy na Magdufa, odbiegły przelęknione, a luba dziecina przy którój siedział, słodki uśmiech w przenikający płacz zamieniła.

Wszyscy długie zachowywali milczenie, które tylko płacz dziecięcia przerywał. Rozamundo, ozwał się po nieiakiéy chwili Magduf, czy uwiadomiłaś oycę Marcellego otwoiém tu przybyciu? Mężu, odpowiedziała Rozamunda—lecz widząc że ten wyraz wzdrygnienie w Magdufie obudził, panie, rzekła daléy, wyznam ci szczerze, że poznawszy miejsce do którego mię wo-

la twoja przywiodła, wstydziałam się dać
 ie poznać Marcellemu. Ten czcigodny sta-
 rzec, który był przyjacielem moich rodzi-
 ców, który im ostatnie na miejscu moim
 oddał posługi.... Dosyć tego, przerwał o-
 pryskliwie Magduf, wiesz że nienawidzę
 tego, iak nazywasz czcigodnego starca: chcę
 ażeby i nadal twój pobyt był mu niewia-
 domy, mam w tym moje powody. Dobrze
 mój.... Dobrze-panie, odpowiedziała z po-
 kora Rozamunda.. Jeżeli ty pamiętać bę-
 dziesz o dzieciach moich, żadnego nie po-
 trzebać wsparcia; lecz powiedz mi, dla
 czego tak nagle i niespodziewanie, przymu-
 sem kazałeś mi opuścić te miejsca w któ-
 rych kiedyś byłam z tobą tak sezęśliwą?...
 Czy tylko ze mną? odparł zszyderskim u-
 śmiechem Magduf, potrząsając głową iak-
 by chciał wyrazić niewiarę Rozamundy.
 Po chwili znowu rzekł: żałujesz więc tych
 miejsc, może pragniesz do nich powrócić?
 Magdufie, odpowiedziała niewinna Roza-
 munda, znasz mię już od lat tylu, i mo-
 głeś się przekonać, czy nie ty sam tylko

byłeś moiém uszczęśliwieniem, czy twoia każda chęć nie była dla mnie prawem? Nie ze wszystkiém cię poznałem, odparł ponuro Magduf, wy kobiety umiecie dobrze ukrywać to co chcecie aby w zataieniu było, dla tego też i ja tylko taką cię widziałem, iakąś ty chciała w oczach moich się ukazać. Lecz inni, którzy zimném nie miłości pełném poglądali na cię okiem, widzieli że Rozamunda, ta niewinna na pozór Rozamunda, nie iednego kochała Magdufa, i że to dziecię które na twoiém nosisz łonie, przydał zciszaiąc nieco głos, iest... Wstrzymaj się Magdufie! przerwała z boleśnym iękiem Rozamunda. To tylko wyrzec zdołała. Oczy iéy gruba pokrywa zasłona, śmiertelna bladeść powleka oblicze, opadaią ręce, niemowlę byłoby na ziemię upadło, gdyby szczęściem stoiąca przy matce Karolina nie była ie zatrzymała. Pogląda spokojnie Magduf na rozciągniętą przed nim ofiarę, tak iak tygrysica która rozdarła myśliwego co iéy płód unosił z iaskini. Ale niezadługo, gdy rozżarzaiące

gniew jego usunęło się zwyobraźni wspomnienie, Magdulf iakby zletargu ocucony, rzuca się na ratunek Rozamundy, podaną przez Karolinę wodą, zlewa iéy skronie, stara się ią własnym tchem ożywić. O niepoięty człowieku, iak rozmaite tobą miotaią uczucia, i iak koleyno moc swoię wywieraią na ciebie!. Niedawno srogi, wściekły, zemstą pałaiący—teraz tkliwy, litosny, pełen miłości, przyciskaiąc do swego serca Rozamundę, przywodzi sobie na pamięć naydroższe swego życia chwile. Oh! gdyby nie ta nienasycona żądza bogactw, gdyby nie porady Sebastiana, możeby Magdulf stał się ieszcze czcicielem cnoty. Rozamunda, ten wierny iéy obraz, zdołalby go do niéy przywiązać. Gdyby iéy się zwierzył wszystkiego, pewnoby na łonie pokoiu zakończył życie. Ale niestety! za nadto iuż złe wkorzenione, a ieżli czasem ozwie się dobroć serca, to natychmiast okropne ią wspomnienia przytlumia. O Magdulfie, drżyi nad twoiém przeznaczeniem!

ROZDZIAŁ VI.

Już ostatnie słońca promienie kryć się zaczynały za pasmem gór i czerwonością pokryły szarawe onych sczyty, a cnotliwy Valverdi siedząc z żoną przy oknie, oczekiwał niespokojnie przybycia Magdufa. Już drugi dzień upływał, iak Magduf ostatni raz ich odwiedził. Nie wiem, rzekł pan Valverdi do żony, co ma znaczyć ta długa nieobecność Magdufa? sądziłem, że teraz częścię w domu naszym przebywać będzie. Drogi mężu, przerwała nieśmiało pani Valverdi, dla czegoż dodałeś ten wyraz, teraz, miałożby twoie przedsięwzięcie bydź nieodmiennem, czy istotnie postanowiłeś drogą naszą Izaurę połączyć z-nim węzłem małżeńskim? To zapytanie twoje, rzekł Valverdi, zdaie się tłumaczyć że niechętnie na ten związek spoglądasz, powiedz mi szczerze, czy odgadłem myśl twoię? Drogi mężu, odpowiedziała pani Valverdi,

wyznam ci że Magduf zupełnie mi się nie podobał; ten niepokój wyryty prawie zawsze na jego czole, te lakoniczne i tajemnicze odpowiedzi, ta oziębłość z iaką prosił o rękę Izaury, ta chęć przyśpieszenia iak nayprędzėj tego związku, i ta długa nieobecność iego, wszystko to rozmaite nasuwa mi myśli; i ilekroć razy zagłębiam się w przewidywaniu przyszłego losu Izaury, zawsze iakieś niepomysłne towarzyszą mu wróżby. Mężu, może to nazwiesz uprzedzeniem, może próżną, cczą obawą, lecz wiesz, że moje przecucia rzadko mię omyliły. Jednakże, czyn co ci się podoba, twoja chęć i moją bydz powinna, w niczém ci się przeciwiać nie myślę. Luba żono, wyznaię, że równie iak ciebie i mnie zadziwia postępowanie Magdufa; tyle iuż razy, sam nawet, co iego iest powinnością, prosiłem go, aby mi pozwolił odwiedzić się w iego zamku; zawsze iednak wymawiał się nieporządkiem, sprawionym przez długą iego, w czasie odbywanėj podróży nieobecność; lecz, pomimo swėj ponuro-

ści, zda się dobre posiadać serce, a czegoż więcéy potrzeba Izaurze ażeby była szczęśliwą? Mamy iednakże czas ieszcze, wszakże nie dane przyrzeczenie; dziś ieżeli przybędzie, ponowię moje żądanie względem odwiedzenia go, i pewny iestem że mi nie odmówi. A będąc w iego zamku, łatwo z poddanych iego będę mógł wybadać co myślą o swoim panu: a ieżeli ich doniesienia zgodne będą z moiém o Magdufie zdaniem, ia sądzę, luba żono, że bez wahania będziemy mogli zezwolić na ich związek. Mój mężu, zapominasz, że myśląc o zapewnieniu szczęścia naszemu dziecięciu, iéy naprzód zapytać się powinniśmy, czyli ona przyszłe swoje szczęście w tym związku zakłada. Znam twoie serce, przekonana iestem żebyś niechciał przymuszać Izaury. Wybaday ia więc droga żono, rzekł pan Valverdi, córka prędzéy przed matką serce swoje odkryie. To rzekłszy, tkliwe dawszy pocałowanie swoiéy małżonce, wyszedł przed dom wyglądaiąc ciągle przyiazdu Magdufa.

Skro-

Skromna Izaura, siedziała przy oknie wychodzącym na ogród, i tylko co dla zmroku opuściwszy robotę, spoziérała na czysty widnokrąg, który gdzie niegdzie gwiazdy posiewać zaczynały. Usłyszawszy wchodzącą matkę, pobiegła wiey objęcia. Potém obiedwie usiadły, a po nieiakiém milczeniu, pani Valverdi baczenie wpatrując się w Izaurę, wte odezwała się słowa: *Lube dziecię, już siedmnaście lat upływa iak się posiadaniem ciebie cieszymy, lecz wkrótce może nadeydzie chwila, że odłączysz się od naszego boku. Izauro, kres ustalenia przyszłego twoiego losu już się zbliża; lecz pewną zapewne byłaś, że w takim zdarzeniu, twoi rodzice nic bez ciebie stanowić nie będą. Magduf, właściciel dóbr o małą milę ztąd odległych, po kilkokrotném tylko widzeniu cię ozwał się o twoią rękę. Nie daliśmy mu ieszcze odpowiedzi, otrzymał tylko przyrzeczenie, że ią odbierze za pierwszym u nas pobytem. Jak więc sądzisz droga Izauro, będziesz-li szczęśliwą z Magdufem?...* Matko moja, przerwała zarumie-

niona nieco Izaura, kilka dopiero razy go widziałam, mogęż go poznać tak prędko? To niech ciebie nie zastrasza moja córko, wiesz, że oyciec twój trzy razy tylko był w domu moich rodziców, nim mię pojął za żonę, a możnaż znaleźć szczęśliwsze nad nasze pożycie? Ale matko, któż mię zapewni że Magduf do oycy moiego iest podobnym: wyznaię, że nie są mi nie miłe iego odwiedziny, lecz... Dokończ córko, rzekła matka, będziesz-że tała się przedemną, nie, twoie szcere serce nie zna obludy, wyznay mi więc... Matko, rzekła po nieiakięy chwili Izaura, bydź może, i nie wątpię nawet, że z czasem poznawszy lepięy Magdufa, kochać go mogę; lecz teraz niepodobna mi prawie dadź ci droga matko prawdziwéy odpowiedzi, myśli moie względem niego tak są pomięszane, że potrzebuię czasu abym ie rozwinąć mogła. Lecz ieżeli wam związek ten radość przynieść może, chętnie dopełnię go z moięy strony; wszystko poświęcę, byleby waszą wykonać wolę. Pewna bowiem iestem, że wy

dobra moiego pragniecie — obym tak iak ty matko mogła bydź szczęśliwą! Tego ci tylko życzę, roztkliwiona pani Valverdi odpowiedziała — i ieszcze ią miała w swém obięciu gdy wszedł pan Valverdi, a dawszy znak skrycie żonie, o czém inném natychmiast wsczęto rozmowę.

Żono, Izauro, rzekł pan Valverdi, najpiękniejszą traciecie chwilę przechadzki. — Chłód tak przyjemny, czyste powietrze, wonnością tchnący powiew, wszystko wzywa pod otwarte niebo, a wy w pokoju siedzicie. Poydźmy po nad rzekę, mówiono mi że znacznie przybiera, że nawet niebezpieczeństwem wzbieranie iey zagraża; lecz bądźcie spokojne, wszystkiemu wierzyć nie zawsze trzeba. To rzekłszy, wziął żonę i corkę pod ręce, i udał się zniemiaż do nadbrzeża — Ale iakież ich było zadziwienie, gdy postrzegli iż rzeka zwykłe rzuciwszy koryto, całą siłą przyległe zalewała pola. Stroskany Valverdi, przemyśliwa nad sposobami odwrócenia iey biegu na przeciwną stronę, gdy nadchodzą-

cy wieśniak przerwał iego zamyślenie. Dawno mieszkaś w tych stronach, dobry człowieku, zapytał pan Valverdi wieśniaka? Już od piętnastu lat, łaskawy panie odparł tenże. Byłżeś kiedy świadkiem podobnego wylewu, zapytał znowu pan Valverdi. Już to trzeci raz za moięy pamięci, odpowiedział wieśniak, rzeka ta takie nam nieszczęścia wyrządza. Czy i dworu wylewem dosięga, zapytał niespokony Valverdi? I ogrodu nawet za dworem będącego, odpowiedział tenże. Okropna wiadomości! długoż trwa ten wylew? Rozmaicie, raz, tylko dwadzieścia cztery godzin, czasem dłużej, czasem krócej. Ale ostrzegam cię łaskawy Panie, kaź powynosić wszystkie sprzęty i ukryć ich iak można naydaley, oraz pilne na nich dadź baczenie, albowiem kilkunastu niepocziwców kryjących się w pobliskiego lasu norach, przybyszą w czasie tego nieszczęścia do wsi nibyto na pomoc i większą tym zrzadzą szkodę, aniżeli wylew rzeki. Dziękuję ci, rzekł pan Valverdi, uderzywszy kilka ra-

zy z lekka po ramieniu wieśniaka, który skłoniwszy się nisko odszedł.

Mężu! odezwała się po nieiakięj chwili pani Valverdi, miałożby ieszce nieszczęście nie wszystkie na nas wycisnąć groty! Boże, kiedyż nasze cierpienia doydą do kresu! Za ledwo dwa miesiące upłynęło w pokoiu, znowu nam nowe grozi niebezpieczeństwo. Przystań droga żono twoie narzekania, przerwał pan Valverdi, może téż to próżna obawa, może wylew niebędzie tak wielki; nie zatruguaymy sobie szczęsnéy obecności boleśném przyszłości obrazem, dość będzie do narzekañ czasu, gdy nas los fatalny gniewnym przygniecie grotem. Opuśćmy nadbrzeże, miły szpaler wzywa nas do siebie. Żałuję teraz, żem was tu sprowadził, bo wy kobiety najmniéjszym trwożycie się wypadkiem. Położmy ufność w Bogu, Jego powierzmy się opiece, On nas z tylu nieszczęść wydzwignął, On i teraz nas nie opuści. — To rzekłszy, wzięwszy znowu pod ręce żonę i corkę, które skrycie kilka łez otarły, odprowadził je od rzeki. Zawsze wesoły hu-

mor pana Valverdi, przyjemność wieczoru, uspokoiły nieco zmartwione już kobiety, i po użyciu późnej w noc przechadzki, swobodni prawie wszyscy powrócili do dworu.

ROZDZIAŁ VII.

GDY w mieszkaniu Valverdego wszystko już lubym się snem poiło, Alberti, niespokojny o los przyjaciela, nie mogąc dowiedzieć się od nikogo w którą udał się stronę, aby go pójść szukać, niecierpliwie oczekiwał iego powrotu. Za najmnieyszym szelestem przybiegał do okna, lecz próżną wiedziony nadzieją, znowu zamysłony, wielkim krokiem przechadzał się po pokoju. Cóż znaczy ten iego postępek? rzekł sam do siebie; kazał mi czekać w zamku. Sebastiano, na każde moje zapytanie dwuznacznie odpowiada; miałżeby to czynić z iego rozkazu? Lecz nie, Magduf zna zbyt dobrze moję przyiaźń, aby ją tak srodze chciał udręczać. Jednakże, iak mało posiadam iego zaufania, ja, który nayskrytsze méy duszy tajniki składałam na iego łonie, tyłem nie zasłużył na wywzajemienie się z iego strony, aby mnie przynajmniey, ie-

żeli nie sam, to przez Sebastiana zaspoko-
ił, względem oddalenia się swego. O Ma-
gdufie, iak widoczna w tobie różnica, iak
przed trzema laty serce twoie przed Al-
bertim się wyiawiało, iakże go kochałeś,
« dziś... Tu wstrzymał się szlachetny mło-
dzieniec, kilka łez wydobyło się z iego o-
czu, a pierś boleśne wydała westchnienie.
Usiadł, potok myśli snuł się bez przerwy
w iego wyobraźni, nastąpiła wreszcie i ta,
co każdego człowieka nacyjęściey a pra-
wie zawsze zajmuie, myśl o samym sobie,
myśl o przyszłości.

Gruba zasłona pokrywała iego urodze-
nie; niewiadomy był ani nazwiska rodzi-
ców, ani przyczyn które go w opiekę Mag-
dufa oddały. Jle tylko młodociana; pa-
mięć zagłębiła w sobie wspomnień, wszy-
stkie teraz przytomnemi były iego umy-
słowi. Pamiętał, że łzami iakiś zalany czło-
wiek, oddał go w ręce Magdufa; ale w ia-
kiem mieyscu, z iakich przyczyn, kto był
ten człowiek, kto był nawet Magduf, to
wszystko tajemnicą było dla niego, którey

nigdy iego przyjaciel odkryć mu niechciał, mówiąc: by mu niewznawiał bolesnych wspomnień, których skutkiem okropne dlań były cierpienia. Miałże udręczać pytaniami dobroczyńcę swojego, miałże się narażać na iego niełaskę? widząc że cały los, cała nadzieia była w ręku Magdufa, i że gdyby mu ciekawością natrętnym się stawał mógłby rozkazem wieczne nakazać mu milczenie. Boże, rzekł sam do siebie Alberti, gdy bym mógł poznać przeszłość moją, gdybym się mógł dowiedzieć kto byli moi rodzice, może oni teraz w nędzy, możeby pomoc moja podporą była ich starości, możebym osładzać mógł ich niedole; iakżebym chętnie imię przyjaciela na imię przywiązanego syna zamienił, i pewny iestem, że sam Magduf, tym więcéyby mi sprzyiał, gdyby, poznał iaką naturą ma naędmną władzę.

Tu ścisnęła mu serce boleść na wspomnienie przypuszczone nędzy rodziców; ta tłumiała głos w iego piersiach, i tylko piętno swoje w rysach twarzy wyryła. Oparł

głowę na rękę, z oczu w iedno wlepionych
miejsce, kilka łez wypadło na stół przy
którym siedział. Długoby może był ie-
szcze w tym stanie, gdyby silny głos Ma-
gdufa przyzywający Sebastiana nie przer-
wał iego zamyślenia. Natychmiast znikły
wszystkie wspomnienia, łzy płynąć prze-
stały, radość rozjaśniła lica, i z uniesie-
niem powitał przyjaciela. Szczęśliwy iego
powrotem, szczęśliwszy był ieszcze widząc
na iego twarzy malującą się pogodę, któ-
ra prawie zupełnie zwykłą ię pochmur-
ność spędziła. Magdufie, rzekł do nie-
go, ile mi twoia nieobecność sprawiła cier-
pienia, tyle cieszę się, że oddalenie wró-
ciło pokóy twéy duszy. Alberti, Alberti,
odparł Magduf trzymając go w swoiém ob-
jęciu, gdybyś wiedział iak ten dzień szczę-
śliwym był dla mnie, godziny, chwili prze-
lotem dla mnie się stawały— a opuściwszy
zamek równo ze świtem, kiedym wieczor-
ne spostrzegł zorza, sądziłem, że ieszcze
słońce nie weszło. Magdufie, przerwał u-
cieszony Alberti, czemuż codziennie tak

dni nie przepędzasz? niegodzi się mogąc być szczęśliwym, oddać szczęście od siebie. Mogęż bez narażenia się zapytać kto był sprawcą tego szczęścia? Kto? przerwał zdziwiony i nagle wyprowadzony z letargu Magduf, w którą go rokosz wtrąciła, kto sprawcą szczęścia, pytasz się Alberti? Jakiego szczęścia? powtórzył, a lica iego znowu posępności powlokła chmura? Któż tu o szczęściu wspominał? rzekł daléy; szczęście i Magduf! o zaręczam ci że pierwéy wierzchołki gór naszych szczyty swoje połączą, nim Magdufowi szczęście stanie się udziałem. Ja szczęśliwy!... zawołał z gorzkim uśmiechem co wskroś przeniknął Albertego, ia, któremu życie nienawistnym stało się ciężarem, dla którego rokosze trucizną, a śmierć iedynym pragnieniem, iedynym celem do którego dobiez pragnę iak nayprędzey!.. Magdufie, przerwał Alberti zasmucony na nowo nagłą zmianą przyjaciela, co mówisz? dla czegóż wątpisz o twoiéy przyszłości; cóż ci odbiera nadzieię? ten, co tyle dobrodzieystw wykony-

wa..... Dobrodziejstw, przerwał Magduf, dla kogo? Zapomniałżeś już o mnie, odparł Alberti. Głębokim westchnieniem odpowiedział mu na to Magduf, i gwałtowne wzdrygnięcie przeięło całą postać jego. — Milczał, ale poruszenie ust, i bołość malująca się na twarzy, zdawały się iawnie przeświadczać, że dusza jego straszliwe czyniła mu wyrzuty. Zobawą prawie spoglądał na Albertego, a widząc litość w jego spojrzeńiu, słodycz malującą się na twarzy, wdzięczność w każdém słowie, ieszcze więcéy cierpiał; z rozpaczą szybko, oddala się od niego, wkłada w zanadrze rękę, a namacawszy dłońią zawieszoną na piersiach miniaturę, wyrywa ją iakby gwałtownie przełękły, i bez ruchu staie. Oczy w iedno wlepione mieysce, podobny do winowaycy stojącego przed surowym sędzią.

Zdumiały Alberti, nie śmie ani iednego wymówić słowa; niespokoiny, czasem wpa-truie się w Magdufa, czasem lękliwy wzrok spuszcza w ziemię, iak w trwodze, by nie ściągnął swém spojrzeńiem gniewu jego.

Długie panowało milczenie, które Magduf przerywał cichym niezrozumiałéy boleści ięzykiem. Litość po kilkakroć pobudzała Albertego do wyprowadzenia go z tego okropności stanu, lecz obawa, i znana porywczosć Magdufa, opór stawiała litości chęciom. Nareszcie tocząc wzrok okropny naokoło siebie Magduf, napotyka litośne wyczerzenie Albertego; to, wraca mu utraconą na chwilę przytomność, i wyprowadza z dzikiego zamyślenia: obawiając czy się nie wydał przed Albertim z tajemnicą, przerywał milczenie, chcąc nieiako wybadać czy usta iego równie piekielnych iak dusza doznawały boleści i milczały przez ciąg cierpienia. Alberti, rzecze do niego udanym dziękczynienia głosem, dziękuję ci za twoją litość niepotrzebną dla mnie; nie słyszałeś bowiem odemnie nigdy, czyli mam do cierpién przyczynę; a tym samym czy go dzien iestem twoiéy litości; stan w którym mię przed chwilą widziałeś.... Niemówmy o tém Magdufie, przerywał ucieszony Alberti, widząc uspokojonego nieco przy-

iaciela, dziękujemy raczém Bogu że go usunął z twoiém duszy. Gdy to mówił Alberti, wznosił oczy w niebo, i wdzięczném weyrzeniem dziękczynienia Twórcy zasylał; gdy podczas tego Magduf, powtórzył skrycie z wyrazem nieodstępny zgrzyoty słowa Albertego: „dziękujemy Bogu” zasłonił twarz rękoma, iakby niegodny wzniesć głos do Tego, do którego niewinność z taką ufnością się ozywa.

Już nocne światła oddawna ciemno-niebiskawy widnokręg przyściem swoim oświecały, iuż nawet i w zamku wszyscy, prócz Sebastyana, który w przyległym izbie czuwał, a częstokroć nawet aż do drzwi samych z ciekawości przybliżał ucha, snem się cieszyli, gdy Alberti i Magduf, ieszcze po dziennych niepokojach, co były udziałem obudwu, chociaż z różnych przyczyn, nie udali się do spoczynku. Troskliwość o Magdufa, oddalała sen z oczu Albertego, wyrzuty sumienia, spędzały go z oczu Magdufa. Niecierpliwy Sebastiano gryzł wargi ze złości, że zgodna z iego chęcią, bo

gniewliwa rozmowa iego pana, zmieniała się w przyjazną; a nie chcąc, albo raczéy obawiając się słabości któręy pan iego często ulegał, wszedł chociaż nie wezwany i przybyciem, przerwał panujące od nieiakiey chwili milczenie.

Zrozumiał Alberti to przybycie, oznaczało ono zawsze chwilę udania się na spoczynek Magdufa, a spojrzawszy iakby z wyrzutem na Sebastyana że tak miłą przerywał obecność, tkliwie uściskał Magdufa, ze łzami prawie odszedł do swoiey sypialni, i rzucił się na posłanie. Te łzy nie uszły bacznosci Sebastyana, a iak zgłodniały wilk co z rokoszą broczy się w krwi swęy ofiary, tak i on poił się dziką radością na widok cierpień Albertego. Długo patrzył za odchodzącym, a choć go stracił z oczu, ieszcze mu był obecnym i ieszcze uśmiech rozlewaiący się po ogorzałém iego obliczu, zdawał się okazywać wewnętrzną w bólu iego pociechę.

Sebastiano, zawołał Magduf, czy nie masz mi, nic powiedziéć nowego? Nic, odpo-

wiedział tenże niechętnie, wszakże nasze nowiny z iednéy tylko pochodzą strony, a pan zapewne dzień cały spędziłeś w tych stronach. Na tę mowę Sebastiana, wspomnienie Rozamundy, wspomnienie dzieci, cieszących się widokiem oycy, radość, iak promień słoneczny nagle przez gęstwę chmur się przedzieraiący, roziaśniła twarz iego; lecz iak tenże promień którego przedzieraiący się blask, zacieniaią wkrótce chmury, tak i radość Magdufa wkrótce znikła. Tak iest, tam byłem Sebastiano, rzekł po nieiakiéy chwili Magduf, o gdybyś wiedział, iak moje przybycie ucieszyło Rozamundę! — Wierzę temu, odparł podły słuźalec, cieszyła się, widząc pańa wikłaiącego się na nowo w iéy sidła, tak iak się cieszy rybak, gdy wielką zdobycz zagarnie siecią. Przestań! przerwał rozgniewany nieco Magduf, dzisieysze Rozamundy obeyscie się ze mną, coraz iawniéy mię przeświadcza, żein bardziéy baczyć był powinien na twoię mo-

wę, i powątpiewać mi każe o wierze twoich doniesień.

Śmiertelna boleść mocniéy nie udręcza duszy, iak wykrywaiąca się zdrada rani piersi zdraycy. Sebastiano nagle iak pionem temi słowy rażony, osłupiały staie: wszystkim iego nadzieiom, iedna chwila smutny zapowiada koniec, i zdaie się nieweczyć dalsze iego zamysły. Kto inny na mieyscu Sebastyana, przewiduiąc mogące wyniknąć skutki, możeby dalszych zaniechał zabiegów i poprzestał na tém; lecz on znaiąc dobrze sprężynę którą działać potrzeba, by domniemania Magdufa obalić, a tym samym przedsięwzięcia swoje na téż saméy utwierdzić drodze, zuchwałością i śmiałą czelnością, pokrywa wyiaśniającą się prawdę. Widzę, rzekł, skutki słabości serca Pańskiego, ieden wyraz kobiety, więcéy u ciebie znayduie wiary, nad przysięgi oddanego tobie sługi. Wątpisz iuż o wierze moiéy, dobrze więc, poznaię teraz co mi czynić pozostało; — straciwszy zaufanie, chcę stracić i służbę, odday się Pa-

nie Rozamundzie, ona tobą kierować będzie, powierz iey twoją tajemnicę, iey niewinne i cnotliwe serce, z ironicznym przydał uśmiechem, każe ci zwrócić... Przystań! przerwał oburzony zbytnią śmiałością Magduf, nie zapominay Sebastiano z kim masz do czynienia. To rzekłszy, groźne nań rzucił weyrzenie, i udał się do sypialni. Mruczając z cicha pod nosem Sebastiano, szedł przed nim niosąc lampę. Rozgniewany Magduf, rzuca się na posłanie, i daje znak Sebastianowi aby się oddalił.

Lubo z iednéy strony bolało to Sebastiana iż na chwilę utracił zaufanie po którym wszystkiego się spodziewał; z drugiéy strony cieszył się, że tym sposobem wcześniéy mogąc opuścić Pana, mógł połączyć się ze swymi towarzyszami przed weyściem iutrzenki, i nowy plan korzyści ułożyć, którą im wezbranie rzeki zapowiadało. Z cicha więc opuścił zamek i baczne oko obróciwszy w koło, pędem, drogą wiodącą w gęstwinę lasu się udał.

ROZDZIAŁ VIII.

MÓWILIŚMY, że niespokojność o los Magdufa oddalała sen z oczu Albertego, na próżno więc zalegał posłanie, w przykrytych powiekami oczach, nie sen miał swoje siedlisko, ale posępny obraz wystawiający cierpienia tajemne przyjaciela. Gubił się w dociekaniu przyczyn onych, lecz tak skryte były wszystkie działania Magdufa, że odgadnienie onych niepodobieństwem się stawało. Miałażby miłość?... mówił sam do siebie Alberti, ale nie, wątpię aby to uczucie miało nad nim władzę, a potem o ile doczytać się przynajmniej mogłem, miłość szczęśliwymi ludźmi czyni, a Magduf... O nie... on niekocha, wszakże tego uczucia nie ukrywałby przedemną. Cóż więc go udręcza? Może iego maiątkowi grozi niebezpieczeństwo, lecz cóżby mu wzbrañało zwierzyć się z tém przedemną? Te i tym podobne myśli zajmowały Alberte-

go; żadna jednak na pewności nie mogła go naprowadzić drogę. Znużony oczekiwaniem na próżno snu, po kilku-godzinném spoczynieniu, które raczély kilka-godzinném cierpieniem słusznieby nazwać można było, rzucił posłanie, otworzył okno dające widok na ogród, i melancholię malującym okiem spozierał na ukazujące się po za górami słabe światło iutrzeńki. Zrazu blady, późniéy purpurowy płasz zwolna miejsce, gdzie się ukazać miała, okrywał na widno-kręgu. Miła pogoda, chęć rozerwania myśli, wywabiły go z mieszkania. Opuszcza zamek, nie idzie do ogrodu, bo tam prawie każdy krzew iest mu znanym, a dla cierpiącego najpotrzebniejszą iest nowość, by choć na chwilę zwróciła iego uwagę na siebie. Przebywa więc most i znowu się zatrzymuje, nie wiedząc gdzie wątpliwe zwrócić kroki.

Mimowolnie ścieżka do lasu wiodąca, zachęciła go by się udał do niego. Ale, ciągle zamysłony, nie długo nią postępował, i nie wiedząc nawet, zwrócił się na zielo-

ną murawę, na której ślady niedawno co stopą ludzką wyciśnięte, równać się zaczynały, wznosząc rosą pokryte wierzchy swoje. Gdyby był ciągle tym śladem postępował, możeby natrafił na okropne legowisko ludzi, których sumienie tak nieczułem było, iak skał urwiska schronienie ich stanowiące; ale inny zakręt drogi, czyli też piękniejszy widok ukazujący się zdała, kazał mu zboczyć w przeciwną stronę. Wszystko ieszcze było spokojne i iak noc, co dniowi ustępywać zaczynała, milczące, czasem tylko szelest liści rannym poruszonych wiatrem przerywał posępną ciszę. Jakże taka spokojność miłą jest zamysłonym, w ten czas zdaie im się, że całe przyrodzenie taż samą co i oni zajmuie się myślą.— Zrazu zamysłenie to nie ogarnia nas zupełnie, czuć nam się dają powaby przyrodzenia, najmniejszy lecz nowy przedmiot zdoła ieszcze zwrócić naszą uwagę; lecz później wszystko wieden i niemogący ściągnąć naszej bacznosci zamienia się przedmiot; patrzymy można mówić, nie widząc, słyszy,

my, nie słysząc prawie. W tym to ostatnim stanie Alberti już godzinę blisko postępował, nie zważając bynajmnięj że się zbyt oddalił od zamku, że się wlas zagłębia którego ubocza są mu nieznanne, i byłby może dłużej ieszcze niepewne niósł kroki, gdyby go głos iakiś zdala nagle nie wstrzymał. Staie, ogląda się i postrzega zbliżającego się doń starca. Głowa siwym pokryta włosem świadczyła o iego wieku, lecz rysy twarzy zdawały się widoczną sprzeczność stawiać z siwizną. Gdzie niegdzie tylko i to lekkie zmarszczki pokrywały one, lecz rumieniec, wprawdzie słaby, czerstwości i zdrowia, a szczególnięj pokoiu duszy, piętno na iego obliczu zostawił. Oczy iego iaśniały miłym cnotliwego człowieka blaskiem, a czarna suknia przydawała więcéj ieszcze powagi iego postaci. Godny młodzieniec widząc znużonego starca pobiegł przeciw niemu, by mu oszczędzić trudu zbliżenia się ku sobie. Przebacz zacny młodzieńcze, ozwał się miłym i uymuiącym głosem starzec, przebacz że cię wstrzymu-

ię; lecz już noc całą błędę w tym lesie, i niemogę natrafić na drogę coby mię z niego wyprowadziła. Kiedym wczoray wchodząc do niego zapytał się powracającego od pracy wieśniaka, czy mogę ieszcze przed zayściem nocy przeysć ten las; powiedział mi, że abym tylko trzymał się ścieżki, którą mi wskazał, za małą godzinę przydeję jego granice. Niewiem iakim sposobem, czy zamysłony, czy téż omyłką wieśniaka, mylną udałem się dróżyną, błądziłem noc całą; bądź tak dobry i wskaż mi pewną drogę, Bóg ci za to nagrodzi. Czcigodny starcze, odpowiedział Alberti, obracając się z niepewnością do koła, wątpliwego we mnie mieć będziesz poradnika, lubo te strony od pierwszey młodości moiém są mieszkaniem; wyznam ci szczerze, że niewiem dokładnie gdzie się teraz znajduję, iednakże zdaie mi się że będę umiał wrócić moimi ślady, i bydź ci przewodnikiem. Nie, zacny młodzieńcze, rzekł starzec opierając się na kij, niewymagam abyś dla mnie przerywał swoią drogę, proszę cię tylko

o wskazanie mi którędybym iak nayprędzéy mógł wyjść z lasu. Szanowny Oycze, odpowiedział Alberti, któremu powierzchność nieznaionego coraz miłszą się stawała, wracając się z tobą nie przerwą sobie drogi, szedłem bowiem bez celu, a zamyślony mimo-chętnie się oddaliłem, a może i zbyt wiele od zamku. Wdzięczen ci nawet iestem że tym sposobem zwrócisz mię ku domowi. Ta odpowiedź ucieszyła nieznaionego, słaby uśmiech co się rozlał po iego licach był tego dowodem. — Zwrócili się więc obadwa i w milczeniu zwolna postępowali. Starzec wpatrywał się z zaięciem w Albertego, szlachetne iego rysy i piętno smutku wyryte na czole, przyciągały doń tkliwe iego serce. Jakaś miła rzewność przeięła go całego, i mimowolnie kilka łez stoczyło się po iego twarzy. Alberti z oczyma w ziemię spuszczo-nymi, czasem tylko z głębokiém westchnieniem wznosząc ie w niebo, milczał cią-gle, iak gdyby chciał tém westchnieniem niebu powierzać cierpienia, ieżeli to co
czuł

czuł natenczas nazwać można było cierpieniem.

Starzec niemógł znieść dłużej tego milczenia, przywykły do niesienia pociechy nieszczęśliwym, do t^ey czynności na któr^ey cały zaszczyt swojego stanu zakładał, sądził, że i Alberti potrzebował iego pomocy. Młodzieńcze, rzekł do niego z tkliwością, jeżeli, o cz^em niewątpię, twarz twoja uczuciom duszy odpowiada, ty cierpisz, spokoyność daleką iest od ciebie, a ucisk i boleść duszę twoją przygniata. Spoyrzy na mnie, jeżeli mię godnym osądzisz twoiego zaufania i powierzysz mi twoie troski, zapewniam cię, że ci radą moją jeżeli nie zupełną, to przynaymni^ey znaczną przyniosę ulgę. W twoi^em weyrzeniu niewinność się maluje, postać twoja zda się obrazem szczeroci; iakem cię tylko zobaczył, serce moje nieznanie wiąże do ciebie uczucie, jeżeli i ty podobnie czuiesz luby młodzianie, powierzysz mi twoie cierpienia.— Oycze m^oy, roztkliwiony zawołał Alberti, przebacz że cię t^em imieniem nazwałem

lecz... nie mógł dokończyć, łkania przerwały mu mowę. To miano, rzekł uradowany starzec miłém jest dla mnie, bo mię zapewnia, że syn przed oycem nie będzie miał tajemnicy. Synu, czekam ziszczenia moiej nadziei. O mój oycze, rzekł zwolna ocierając łzy Alberti, nie jestem nieszczęśliwym jakim się byź wydaię. Niepewność jest całą moją niedolą. Nazywam się Alberti, od młodości oddany w dozór przyjaciela, który mi aż dotychczas miejsce rodziców zastępował, i który nayszczerszego, w zamian za iego dobrodzieystwa, miał we mnie syna, poznaię, że mimo moiego doń przywiązania, mimo niezmiennych w niczém postępków, że ten przyjaciel staie się dla mnie coraz bardziéy obojętniejszym i skrytszym. Niepewność czym zdołałem zasłużyć na tę zmianę, wszystkie moje zajmie myśli; ona mię pozbawiła pokoiu, i częstokroć w udręczenie się dla mnie zmienia. Móysynu, odpowiedział starzec, wpatrując się w iedno miejsce, czy sposób myślenia twoiego przyjaciela zgodny jest ztwo-

im; czyli taż samą co i ty oddycha szcerością? Tak sędzę, wahaiać odpowiedział Alberti. Młodzieńcze, wiek twój i wychowanie iak uważam niedozwalaią cię jeszcze rozpoznawać dobrze ludzi; może się mylisz wnniemaniu, ieżeli pewnym iesteś że postęпки twoie względem twoiego przyjaciela w niczém się nie zmieniły, to zapewne i on równie życzliwym, równie tobie sprzyiającym pozostał. Lecz bydz może, że inne powody zrządziły tę zmianę, należało go się wypytać... Po kilkakrotnie, przerwał Alberti, czyniłem to, lecz nadaremnie. Te i tym podobne zażalenia wynurzał młodzian przed starcem, który odpowiadaiąc mu zgłębokim rozsądkiem i wytrawnością doświadczonego człowieka podał mu niektóre sposoby do zaspokoienia iego duszy służyć mogące; one to iak ożywna rosa zasilaiąc spragnione rośliny, ożywiły błogą nadzieią tkliwe Albertego serce. Dobry starzec widząc uspoakoionego nieco młodzieńca, wzniósł oczy w niebo, dziękuiać iż mu znowu ulgę po-

nieść dozwoliło; nareszcie po nieiakiéy chwili milczenia spostrzegając ukazujący się o podał zamek, zapytał się Albertego czyliby nie wiedział do kogo ten zamek należy? Mój Oycze, odpowiedział Alberti, jest on własnością moiego dobroczyńcy, Magdufa. Magdufa! powtórzył starzec, razem z radością i oburzeniem... kilka łez poprzedziło następujące wyrazy „tu ią więc „znaydę zapewne.” Położył rękę na pierśsiach iakby chcąc ulżyć widocznemu cierpieniu, nagle promień nadziei roziaśnił twarz zasepioną, przyćmione powieką oczy, dawny swój ogień odzyskały; z łatwością poznać można było, że iakaś szczęśliwa myśl dopełnieniem miała zwiénczyć iego zamiary. Potem zwracając się do Albertego który z synowską tkliwością drżące iego kroki wspierał, mój synu, zapytał go przerywanym głosem czy nie wiesz.... o mieszkaniu Rozamundy? Rozamundy? powtórzył Alberti, przypominając sobie. Nie, rzekł późniéy, nie słyszałem nigdy tego nazwiska pomiędzy mieszkańcami fol-

warku, w którym znajduje się zamek mojego przyjaciela. Zasmucony starzec, spuścił oczy w ziemię, westchnął głęboko, kilka razy wstrząsnął głową, wzruszył ramiona, jak człowiek tracący nadzieję. I tu ięy niema! zawołał z bolesnym iękiem starzec.... po chwili rzekł znowu... czy dawno miły Alberti, zamieszkuje te strony? Od młodości—odpowiedział tenże, lecz powiedz mi drogi oycze, czy ta Rozamunda której szukasz ma męža, może iego nazwisko znajome mi będzie? Męža! przerwał starzec, zasłaniając twarz rękoma głośne wydając łkania — niewiem, rzekł po nieiakięy chwili, ale ty naylepięy o tém wiedzieć powinienes... Ja, zapytał zdziwiony Alberti. Tak ty, rzekł dalej starzec, którego siły coraz bardzięy opuszczały — Magduf, nie wspomniałże ci kiedy o nieszczęśliwęy swoięy ofierze, o Rozamundzie? — Co słyszę, zawołał przelękły Alberti, miałaby Rozamonda?... Dobry oycze, dobry oycze, to ty! rzekła mała dziewczynka z radością przybiegając do starca; nie opuściles nas

przecie. Któż zdoła określić radość, iakiéy doznał dobry starzec na widok tego dziecięcia, przycisnął ie do swego łona, zlewaiąc głowę łez strumieniem. Drżały iego usta, lecz radość nie dozwoliła mu ani iednego wymówić słowa, bo to uczucie sercem tylko nie usty przemawia. Ah póydź, póydź do Mamy dobry Oycze, ona cię zutęsknieniem wygląda, to mówiąc ciągnęła go za rękę mała Karolina ku chacie Rozamundy. Starzec, widząc że Alberti oddalał się zwolna, nie chcąc przerywać mu tak drogiéy chwili radości, rzekł: cnotliwy Alberti, przebacz mi że to serce znalazłszy przedmiot swoich poszukiwań, zapomniało na chwilę przyiaźni; nieznaionego Rozamundzie, nie chcę do niéy wprowadzać, ale proszę cię, przydał z cicha, niemów nic o mnie Magdufowi, nie wspominay mu o Rozamundzie, szanuy taitajemnicę przyiaciela, i czekay spokojnie chwili kiedy ci ią sam odkryie. — Wkrótce się znowu zobaczemy i może iuż nayszczerzéry przywiązany do ciebie

Marcello, więcéy ci będzie mógł wyznać. To rzekłszy tkliwie uściskał Albertego i nowych sił nabrawszy z młodzieńczą prawie szybkością udał się do chaty Rozamundy. Alberti, chcąc usunąć wszelkie podeyrzenie, iż nic nie wie o tajemnicy Magdufa, obawiając się by go przypadkiem śledcze oko Sebastiana nie dostrzegło, wrócił znowu w głąb lasu, oddalił się od chaty i przeciwną zupełnie drogą powrócił do zamku.

ROZDZIAŁ IX.

Już słońce wysoko było na horyzoncie, nie-
 szczęśliwa Rozamunda, nakarmiwszy niemowlę,
 zaczęła się krzątać około przygotowa-
 nia małego zasilku dla siebie i dla Karoliny i
 w tym celu wysłała córkę przed chatę, by
 uzbierała suchego chróstu na ogień. Cze-
 kaiąc na nią usiadła przy oknie, a wznosząc
 oczy na zamek leżący o podał od cha-
 ty, tam to, mówiła sama do siebie, tam
 znajduie się iedyna osłoda moiego życia.
 Magduf! w wymówieniu tego imienia ty-
 le było połączonego rozrzewnienia radości,
 że uczucia te stłumiły głos w iey piersiach.
 Lubo niedawno widziała Magdufa, lubo
 nową zapewnił ią przysięgą, iednakże ia-
 kies okropne przeczucia miotały iey du-
 szą, a promień nadziei szczęścia, który iey
 Magduf wskazał w przyszłości iuż dziś nie
 tak pięknym iak zeszlego dnia się ukazy-
 wał. Nie mogła poiać co znaczyło to tro-

skliwe z nieiaką zawiścią wypytywanie się
iego o Marcella, co znaczyły podeyrzenia
względem tego starca, iakoby on starał się
odwrócić jęj serce od niego, nareszcie
ta widoczna trwoga na wzmiankę uświę-
cenia prawnego ich skrytego małżeństwa.
Dopóki Magduf był przy nięy, żadna wą-
pliwość nie zastanowiła ięy myśli, żadna
niespokoyność nie zwróciła baczości na-
zbyt przywiązanęy Rozamundy. Magduf,
był przy ięy boku, więc zapominała o
wszystkięm, Magduf przyciskał ją do ser-
ca, mogłaż w ten czas o częm pamiętać, są-
dziła się bydź nayszczęśliwszą, nigdy in-
nego niepragnęłaby losu! Powtarzał ięy
że ją zawsze kocha, czegóż ięy więcęy by-
ło potrzeba? ale w uniesieniu miłości nie
uważała Rozamunda iak wyraz twarzy na
pozór przywiązanego do nięy kochanka,
przeciwnym był iego mowie, iak widocznie
z przymusem to zapewnienie miłości po-
wtarzał, iak każde ięy zaptanie stwierdze-
niem mimowolnęm oddalał! Nieszczęśliwa!
odwróć od siebie zgubną nadzieię, odwróć

**

łudzacy iéy połysk, bo on w okropnieyszą pograży cię przepaść. Wydzieray raczék z wolna iadowitą truciznę rozlaną obficie w twém sercu, niech to serce zakamienieie na głos miłości, a oczy twoje uyrzą Magdusa takim iakim iest w istocie. Lecz zdolaszli to uczynić niewiasta, która przedmiot swoiéy miłości za bóstwo uważa? którego nawet okrucieństwo miłém iest dla niéy, która w iedném iego uściśnieniu nayduie zagładę długich cierpień od niego mu zadanych, dla którey, iedno weyrzenie chociaż groźne byle na nią rzucone droższém iest nad wszystkie skarby świata? możeszli nakoniec zagubić miłość w sercu ta kobiéta, która nią uniesiona, biegnie bezwładna w przepaść, iak suchy liść uniesiony gwałtownym pędem wody, i równie iak on nie znalazłszy nigdzie oparcia, albo téż tak słabe, że go pęd wody z tamtąd wyrwie z łatwością i w otchłań zanurzy, tak i ona!....

Jeszcze przy oknie siedziała, gdy dało iéy się słyszeć lekkie pukanie do drzwi, sądząc że to córka mając naręcze chróstu otwo-

rzyć sobie niemoże, postąpiła ku drzwiom i z wolna je otwarła. Jakież było iey zadziwienie, a razem radość gdy uyrzała cnotliwego Marcella. O moia córko! O mój Oycze! te były iedyne wyrazy które się słyszeć dały. Rzuciła się Rozamunda w iego objęcia, a starzec przycisnął ją z tkliwością do swego łona. Po chwili radości, Rozamunda nagle przypomina sobie słowa Magdufa: „Czy niebył tu Marcello, niechcąc aby wiedział o twoim w tych mieyscach pobycie.” te słowa złowróźbne, i ukazanie się niespodziewane Marcella, okropnym przecuciem serce iey przeięły. Gdyby się o *tém Magduf* dowiedział, możeby niedotrzymał swoich przyrzeczeń, a lubo iak oycę kochała Marcella, przecież iak kochanka iak męża kochała Magdufa, i w téy chwili serce iey przeniosło szczęście żony nad szczęście córki.

Ta nagła zmiana w Rozamundzie, niemożła uysć baczego oka Marcella. Zamiast radości widoczna boleść w iey twarzy, oczy w ziemię spuszczone, bladość lica, wszy-

stko to dręczące uczucie wznieciło wduszy
czci godnego starca. Pani!... rzekł usuwa-
jąc się od Rozamundy, która usłyszawszy
ten szczególniejszy sposób zaczęcia mo-
wy zakryła twarz rękami, widzę z bole-
ścią że moja przytomność nie miłą jest to-
bie, gdybym mógł był to przewidzieć,
nie byłbym opuszczał twoiéy rodzinney
wioski, moiéy powinności. Ah oycze! przer-
wała ze łkaniem Rozamunda, nierozumiéy!...
niemogła dokończyć, skonały słowa na iéy
ustach, i osłabiona usiadła na ławie rzuci-
wszy w przody niespokoyne weyrzenie na
ścieszkę do zamku wiodącą. Droga córko!
pozwól mi się ieszcze nazywać tém imie-
niem, dowiedziawszy się żeś opuściła ro-
dzinną zagrodę, niewiadomiwszy mię o
tym zamiarze domyśliłem się że twój wia-
rołomny kochanek — na te słowa wzdry-
gnęła się Rozamunda i znowu w okno spoy-
rzała, nakazał ci to uczynić ; żeś niewie-
działa bynaymniéy o tém, że cię przymu-
sił do skrytego oddalenia się, i że cię za-

pewne uwiozł do swéy włości. Wygląda-
 łem co chwila iakiegokolwiek od ciebie u-
 wiadomienia przynajmniey ieżli nie dono-
 szącego mi o mieyscu twego pobytu, to cho-
 ciał oznaymującego że pamiętasz o mnie, i
 czy szczęście czy niedola twoim są udziałem.
 Ale nadaremnie, długi czas upłynął, ża-
 dnéy wiadomości — o los twóy niespokoiny
 pamiętny prośb twoieg o umierającego oycy
 opuściwszy moię powinność, pamiętny mo-
 wy Magdufa, kiedy ci opowiadał w moięy
 przytomności w którey stronie leżał zamek
 iego rodziców, postanowiłem udadź się
 do niego, i ieżelibym ciebie w nim niezna-
 lazł domagać się uwiadomienia o tobie od
 samego Magdufa. Błądząc przez noc całą
 po lesie, szczęsnym trafem napotkałem mło-
 dzieńca który mnie z niego wyprowadził,
 i twoią Karolinę co mnie do ciebie przy-
 wiodła. Jam szczęśliwy, że ciebie oglądam,
 a ty odwracasz oczy twoie odemnie, Ro-
 zamundo, czyliż iuż w twoim sercu przy-
 iaźń moia nieznaydzie przystępu? nie uczu-
 ie i ono iéy głosu? Czyliżem cię obraził, czy-

lim zawiódł twoje zaufanie? wyiaw mi, co
 cię niechęcią przeciw mnie napawa? Ach
 mój oycze! zawołała zlewając łzami ręce
 pocziwego Marcella, Bóg mi iest świad-
 kiem, ieżeli równie iak dawniey przywią-
 zaną nieiestem do ciebie! czuię dobroć two-
 ię, wdzięczność nayżywsza przeymuie ser-
 ce, ale gdybyś wiedział iakiem twoia obe-
 cność zagraża mi niebezpieczeństwem, Ma-
 gduf!.... Cóż tedy? przerwał niespokoiny
 Marcello, dokończ a opuszczę cię natych-
 miast, miałżeby ten co ci szczęście ziednać
 pragnie, bydź sprawcą twoięy niedoli? —
 Już miała wyznać przyczynę Rozamunda,
 gdy tentent zbliżaiącego się konia, przer-
 wał ię przedsięwzięcie. Obraca się nagle,
 i spostrzega przed samém oknem stojącego
 Sebastiana który niechcąc złamać swoięy
 przysięgi kilkokrotném chrząchnieniem dał
 znać o sobie, a gdy uirzał spinaiącą się
 do okna Karolinę, kiwnął nań ręką aby
 wyszła: podczas gdy Karolina doń pobie-
 gła z rozkazu Matki, przenikliwe oko Se-
 bastiana, przejrzało zdala wnętrze chaty,

Zobaczył Marcella, piekielny uśmiech był tego dowodem. Czego żadasz Sebastiano zapytała z nieśmiałością Karolina? Sebastiano dobył z zanadrza kieskę i rzucił ją z pogardą na ziemię, mówiąc: oddaj to twoiey matce, powiedz iéy że mój Pan nie może dotrzymać swego przyrzeczenia i dziś iéy nie odwiedzi, a może i nigdy domówił z cicha. To rzekłszy, zwrócił konia, i odiechał szybko śmiejąc się na całe gardło.

Doniesienie Karoliny potwierdziło obawę Rozamundy, i w téy chwili przyszłość iéy w tak okropnéy ukazała się przed nią szacie, że byłaby upadła na ziemię, gdyby iéy nie był wsparł Marcello i nie poprowadził do ławki. Nie płacz mamó, powtarzała Karolina, oddając matce worek; oyciec przysyła ci pieniądze, oyciec znowu o nas pamięta, nie będziemy iak przedwczoray głodne. Głodne? zdziwiony powtórzył starzec, iak to Karolino, nie miałyście co iść, oyciec wam nie przysłał? Boże! ulituy się nad losem Rozamundy. Ta nie-

szczęśliwa zgubioną będzie, jeżeli Ty wszechmocny Panie, nie okażesz nad nią swojego miłosierdzia. Zatopiona w namiętném uczuciu, zapomina o sobie, o swoiemy powinności, o nieszczęśliwych dzieciach. Przeklęty niech będzie ten dzień, kiedy poznała Magdusa! oby zapomnieć o nim mogła! Zapomnieć o nim mogła! powtórzyła z boleśnym westchnieniem przychodząca do zmysłów Rozamunda. O kim że to mówisz oycze, czy o twoiemy córce, czy ona ma go zapomnieć?.. Magdusa Rozamunda ma zapomnieć! — Nie! to bluźnierstwo, którego nawet otchłań piekła nie wyzionie! Nie, mój oycze, nie go z tych piersi nie wydrze, żadna władza, żadna potęga ziemi, śmierć tylko iedna, a jeżeli można mając nieśmiertelną duszę i po śmierci ieszcze kochać, przysięgam ci na te dzieci, których szczęścia pragnę, że go ieszcze i tam kochać będę. Za ledwie tych słów domówiła, strumień łez oblał iey lica, upadła znowu bez zmysłów, i zinną ręką odepchnęła od siebie Marcelła. Dobry starzec przelękły okropnym sta-

nem Rozamundy, zaiął się starannie przywróceniem iéy do życia, które zdawało się trzymać na wątléy ieszcze nici. Obudzone dziecię wykrzyknieniem matki płakać zaczęło, mała Karolina pobiegła co prędzéy po świeżą wodę, którą starzec zraszał skronie Rozamundy. Po nieiakiéy chwili podniosła ciężkie powieki, a iak tylko zmysły znowu do działań swych wróciły, rzewliwy płacz dziecięcia natychmiast doszedł iéy uszu. Macierzyńska miłość sił iéy udzieliła, choć tak osłabiona, poszła iednakże do nędznego posłania; a niemowlę uyrzawszy matkę, wyciągnęło ku niéy drobne rączęta, i mile spoyrzało iakby chcąc przemówić: „Matko, niezapominay o mnie!” Ah iak weyrzenie dziecięcia wielką ma władzę nad duszą matki! Przycisnęła ie do piersi, i pokarmem płacz utuliła. Nierozsądna, chcąc płacz ukoić, większe zadała mu cierpienia. Po tylu tylko co poniesionych udręczeniach, pożywny pokarm, truiącym się prawie stawał; spragnione niemowlę ssało go obficie, a matka niezupelnie ieszcze

spokoyna, wpatrując się w nie, i rozpoznając rysy cyca, zlewała je łzami. Marcello spoglądał na nią z litością, myśląc skrycie: iak dziwną iest natura kobiet, że zaślepione miłością, przenoszą iéy przedmiot nad wszystko; dla niego gotoweby życie poświęcić, i właśnie kiedy daią tego dowody, kiedy umieraią prawie ze zbytku tego uczucia, niech dziecię tylko zapłacze, zapomina natychmiast o wszystkiém, dziecię tylko iest w iéy myśli, o niém pamięta i tak ziednéy ostateczności w drugą przechodzi. Miłość męża i miłość macierzyńska, prawie zawsze, a często aż nazbyt wierne mi ich maią; i głos tylko przyiaźni bardzo rzadko przystęp do nich znajduie, i nigdy kobieta maiąca występne go kochanka prawdziwego przyjaciela ocenić nie umie. Rady i przekładania iego, zdaią iéy się obłudne, i zamiast życzliwością, nienawiścią często kroć ku niemu pała. Taką była i Rozamunda, przekonawszy się, że Marcello skreślał ohydnie charakter Magdufa, chociaż ieszcze nie dosyc prawdziwie, zaczęła czuć

do niego odrazę. Ilekroć razy spoyrzała na niego, tylekroć spuścić oczy natychmiast w ziemię musiała, niemogąc przewyciężyć w sobie wzrastającego a przeciwnego dotychczasowemu uczuciu Marcello, widząc pomięszanie Rozamundy i widoczną iéy niechęć, powstał z wolna, zbliżył się do niéy, a wzięwszy za rękę, rzekł: Siedmdziesiąt lat iuż żyję na świecie, może Przedwieczny, w krótce powoła mię do siebie, Rozamundo, posłuchay mię więc ostatni raz. Gdyby Magduf prawdziwie ciebie kochał, gdyby cieszył się że jest oycem dwoyga prześlicznych dzieci, bądź pewną, że pomimo woli rodziców byłby się iuż dotychczas chociaż potajemnie, nierozzerwanym węzłem z tobą połączył; tym czynem dowiodłby że miłość kierowała wszystkiemiiego postępowaniami i że tą miłością uszczęśliwić cię pragnął. Tu pilnie słuchaiąca Rozamunda, chciała przerwać mowę starcowi, lecz ten skinieniem ręki dał iéy znak by go daléy wysłuchać raczyła. Spokojną byłbym miał

godzinę śmierci, gdybym choć tym sposobem mógł was połączyć i dopełnić ostatnich życzeń twoiego Ojca. Lecz to potajemne małżeństwo w ostatnim tylko przypadku przywiódłbym do skutku, pierwéy wszystkich sposobów byśmy użyli do zawarcia go w obec świata. Mówi on: że rodzice korzystną mając dla niego partyą, niechcą zezwolić na połączenie się iego z kimkolwiek innym, i tu nadużywa twoięy łatwowierności, wyszedł on inż z podopieki Rodziców, i może prawnie działać według swoiey woli. Gdyby ciebie tak iak mówi kochał, dlaczegóżby dotychczas z tobą się niepołączył, równaś mu w urodzeniu: a chociaż nieszczęśliwe przypadki przywiódły twoiego ojca do ubóstwa, kochający zważać na to niepowinien. Miłość nim włada, powiadasz, a dozwala ci w nędznęy przemięszkiwać chacie, samotnęy, wystawionęy na rozliczne niebezpieczeństwa, znosić głód, nędzę, cierpienia. Wiem że twoie serce niczém to bydź mieni, że przeięta nayżywszą miłością, z słodyczą

przyjmiesz los który ci z gotował, i los chociaż naysroższy byleby tylko iego ręką dany miłym iest tobie. Gdybyś niebyła matką przebaczyłbym ci to, lecz pamiętaj o tém że masz dzieci że hańba i wstyd Matki i na dzieci spłynie! Wierz mi o droga córko, kiedyż ci szczerść i życzliwość moia była podeyrzana? czyliż przywiązanie które mam ku tobie zdradzać by mi cię dozwoliło, mało żem ci onego dał dowodów? A ty, niech ci to Bóg przebaczy, nienawistnie na mnie spojierasz; o tak, poznałem to, bo niedopiero żyję na świecie. Ale kiedym tyle nieszczęśliwy, że ty którę kierowałem młodością, niezgodnie z moją chęcią przyjęłaś zasady cnotliwego życia, kiedym tyle nieszczęśliwy, że przeniosłaś nademnie, prawdziwego twoiego przyjaciela któryby dla ciebie chętnie ostatek dni swoich położył, przeniosłaś obmierzłego uwodziciela, udziel mi téy iedynęj pociechy, że kiedy niemogę twoięj wdzięczności, to przynajmnięj niech twoięj nienawiści nieponiosę z sobą do grobu. Niech

oddalony w rodzinne twoie miejsca, zamysliwszy się o tobie, wspomnę nieraz to przynajmniej za tyle moich dobrodzieystw za moją życzliwość nie pozyskałem iędy nienawiści! Tu łyzy przerwały mowę starca, a Rozamunda niemogąc znieść dłużej boleści tego który tak długo miejsce iędy oycza zastępował, rzuciła się do nóg ięgo błagając o przebaczenie. O mój oycze, zawołała łkając, niegodnam dobrodzieystw twoich, niegodnam twoiego przywiązania, serce moje już tylko dla Magdufa bię... przebacz, przebacz obłąkanędy która kocha swój występęk! Drogie dziecię, ozwał się cnotliwy Marcello ocierając łyzy, nie iestem ia tak surowy iak ci się zdaie, umiem przebaczać ułomności ludzkie, częstokroć sam nawet ie uniewiniam. Tak Rozamundo, wszakże nigdy nie słyszałaś odemnie bym cię występna mianował; własne oszczędzając serce nie dawałem ci tego nazwiska. Tu znowu łyzy zrosiły ięgo lica a po krótkiey chwili przydał: Rozamundo, wspomniędy sobie te te czasy kiedyś nieznając Magdufa swobo-

dne pędziła chwile, czy pamiętasz to coś nieraz do mnie mówiła, kiedyś ci wspominał o twoim zamęzciu. Twoje dłonie oycze, co tyłą obsypały mię dobrodziejstwami, one to z mężem mię połączają, twoje błogosławieństwo szczęśliwem nasze życie uczyni” Tegom tylko pragnął, niestety! po poznaniu się twoim z Magdufem sądziłem że ta chwila już niedaleką, a teraz, podobno ja pierwéj rozstanę się z tym światem, nim dla ciebie weselne zabłysną pochodnie. Niemyśl tak mój oycze przerwała Rozamunda, Magduf już iest moim, przysiągł mi to wobliczu Boga! Co słyszę? zawołał zadziwiony Marcello, niezwoździsz mię drogie dziecię, ah gdyby to było prawdą!... lecz kiedy, gdzie, kto był świadkiem tego obrzędu?... wyiaw mi wszystko. Pamiętasz oycze, rzekła łkając ieszcze, nie-szczęśliwa Matka siadając przymałem dziecieniu które zamknięte mając oczy już prawie piętno śmierci na sobie nosiło, ostatni pobyt u nas Magdufa. Pamiętasz iego nie-spokoyność, gdym go zapytała o przyczynę

8

onéy, powiedział mi: że oyciec iego statecznie się opierał iego połączeniu się z emną, i że postanowił mimo iego oporu poiąć mnie za żonę. Możesz sobie wyobrazić oycze iak mi ta wiadomość drogą była. — Chciałam ci ją natychmiast wyiawić' lecz Magduf kazał mi zamilczeć o wszystkim przed tobą, dając za przyczynę, Twoią surowość, zapewniając mnie zarazem, że nigdybyś niezezwoił na potajemne złączenie się nasze. Jutro mówił do mnie przed zachodem słońca bądź z dziećmi twoimi za strumykiem około wzgórza, tam wierny mój Sebastiano czekać na ciebie będzie. Bóg Kapłan i on będą świadkami naszych przysiąg. Dopełniłam iego rozkazów wyszłam z dziećmi na umówione miejsce nie zostawwszy żadnego tobie uwiadomienia sądziłam bowiem że powrócę i że na usilne prośby moje Magduf pozwoli ci później o wszystkim donieść. Sebastiano już czekał na mnie, opuszczone Pustelnika mieszkanie było miejscem naszej przysięgi, którą nieznaiony mi Kapłan odebrał od nas obojgu

ura-

uwana że go już mężem bez zarumienienia nazywać mogę, najszcęśliwszą byłam; lecz niespokojność nie ustąpiła z duszy Magdusa, ręka jego iak drżała wtenczas kiedy mi ią w obliczu Boga i Kapłana oddawał, tak i teraz kiedy nazywaiąc mię żoną przyciskał tkliwie do serca. Zaledwieśmy wyszli z tego przybytku szczęścia, Sebastiano zbliżył się do niego, i mówił coś z cicha, a Magdus zwróciwszy się potym ku mnie rzekł: Rozamundo, teraz iesteś moią na wieki, oyciec zabrania mi iezdzić do waszey wioski, niemóglbym się z tobą widywać, a więc Rozamundo iedź zemną, z mężem twoim. Ukryię cię w niepozorney chacie, tam mię miłość często prowadzić do ciebie będzie, tam daleka od świata, odemnie tylko znana, będziesz szczęśliwą. — Wkrótce iak tylko dogodną znajdę porę, wyszlę Sebastiana z uwiadomieniem do Marcella o tym co się stało pomiędzy nami. Ten dobry i przywiązany do ciebie oyciec, po chwilowym żalu z twoiëy utraty, widząc szczęście twoie, będzie wraz z tobą

szczęśliwym. To usłyszawszy zapewnienie, oddałam mu się zupełnie. Oto cała moja wina — oycze teraz ukarż mię! Droga córko rzekł starzec, który w całym ciągu opowiadania dostrzegał iakieyś fałszywéy czynności, i trwożył się mimowolnie wyniknąć mogącemi zniéy w przyszłości skutkami, ieżeli ty cieszysz się szczęściem, czemuż i ia niemiałbym bydź szczęśliwym? Tu wstchnął głęboko, spoyrzał na Rozamundę która niemogła przednim łez ukryć, a udaiąc że ich niepostrzegł, wziął Karolinę w swoje objęcia i tym sposobem twarz swoię zasłonił.

ROZDZIAŁ X.

Zaledwie Alberti powrócił do zamku zamysłony o starcu którego rysy, postać, głęboko utkwiły w iego umyśle, zamysłony bardziéy ieszcze wypytywaniem się go o Rozamundę nieznaiomą mu dotychczas, zdziwiony widokiem maleńkiey dziewczynki którą z taką radością przycisnął do swojego serca, uyrzał z okien swojego mieszkania Magdufa i Sebastiana siadających na koń i szybko opuszczających zamek. Już minęli most, już lasu dosięgli, a Alberti ieszcze ich ścigał oczyma. Cóż znaczy, rzekł sam do siebie, to oddalenie się Magdufa z Sebastianem? znowu tajemnica, nic mi o niey niewspomniał.... Tu namyśliwszy się przez chwilę, nagle chciał wybiedz z zamku i przekonać się w którą stronę kroki poniosą. Lecz szanować skrytości przyiáciela miał sobie zawsze za obowiązek, którego i teraz przełamać niechciał, tém bardziéy że

Sebastiano kilka razy zwrócił oczy na zamek, tak iakgdyby obawiał się aby niebyli postrzeżeni. Zapewne Magduf, do Rozamundy się udał, rzekł po nieiakięj chwili do siebie Alberti, któż ona iest? starzec nazwał ją nieszczęśliwą ofiarą Magdufa; miałażby ona nią bydź w istocie, miałażby ta miła dziewczynka?... Nie, to niepodobna, Magduf byłby mi wyznał to wszystko, to zapewnie nie on... lecz to wrażenie iakie sprawiło na starcu doniesienie moje że ten zamek iest własnością Magdufa, te słowa „tu ją więc znajdę zapewne.” aż nadto dowodzą, że ta Rozamunda niemusi bydź Magdufowi nieznaną. Ona tu iest — a Magduf nic mi o tém niewspomniał. Gubię się w niepewności, lękam się występnyim nazwać Magdufa, a niemogę starca obłudnyim mienić.

Takie myśli zajmowały Albertego i w tych zatapiał się prawie niemogąc dociec przyczyn skłaniaiących Magdufa do taienia się przed nim, gdy tenże z nieodstępnyim Sebastianem iuż niezbyt daleko znaj-

dowali się od chaty. Skoro ją spostrzegł Magduf, nagle zwrócił konia w inną stronę, a westchnąwszy głęboko spuścił zaiskrzone zemstą oczy w ziemię, zgrzytnął z cicha zębami, i z gniewu tak silnie ścisnął boki bieguna, że ten wspiął się nagle i o mało o ziemię go nie powalił. Sebastiano patrzył na to z daleka, uśmiechnął się dziwnie, ucieszony że jego zdradliwe doniesienia upragniony zyskują skutek, a chcąc ukryć radość z obawy by niebyła dostrzeżoną od Magdufa, nachylił się do konia, i kilka razy po długiej lekko uderzył go szczytami.

Długie pomiędzy nimi panowało milczenie, przerwał je nareszcie Sebastiano.— Ucieszy się, rzekł, Pan Valwerdi przybyciem Pańskim, tak go dawno już niewidział. Mnieysza o to odparł niechętnie Magduf. Już podobno trzy dni iak Pan tam niebyłeś. Wszak wiesz że niemiałem czasu— Tak, ja wiem, ale panna Izaura, iako przyszła narzeczona, może także będzie chciała wiedzieć.... Przestań, Izaura chociaż mię

zna dopiero od kilku tygodni, wie, że nie-
 lubię próżnéj ciekawości, a potém z ką-
 że to prawo by koniecznie narzeczona wie-
 działa, gdzie iéy przysły czas przepędza?
 mam nadzieję że chociaż i moją żonę zosta-
 nie, niebędzie o tém wiedzieć. Słusznie
 pan uczynisz, niebardzoby ją bowiem ucie-
 szyła ta wiadomość, iednéy się pan oświad-
 czasz a drugą sprowadzasz bliżéy zamku,
 i uwodzisz ją pozornym ślubem. W tym
 postępku pańskim wyznaię że słusznęj nie-
 mogę dostrzedz przyczyny, że pan Roza-
 mundę oddaliłeś ztamtąd gdzie narzeczona
 pańska przebywa, to poymuię bo gdyby się
 iedna odrugiéy dowiedziała nieprzyjemne
 byłoby spotkanie i dla dwóch niby pańskich
 kochanek, i dla pana samego z niemi. Lecz po
 co ten ślub, po co te przysięgi, ten kapłan, któ-
 ry nie wiedział że dawszy błogosławieństwo
 małżeńskiey parze, sam także dał sobie
 błogosławieństwo na niepowrotną do szczę-
 śliwszego świata drogę. Biedny! ieszcze go
 widzę, iak usłużnym dostawszy się wrę-
 ce ludziom, próżno zaklinał, błagał, przyta-

czał różne wyjątki najpiękniejszych religijnych zasad, musiał się przywitać z ostrym nożem, który, chociaż nie tak okrutnie iak to dawniey czynili, ale iednakże męczeńską śmierć mu zgotował. Milcz! przerwał przerażony tem okropném wspomnieniem Magduf, przysięgam że iezeli kiedy ieszcze z tak zimną krwią wzmiankę o tym wypadku uczynisz, nie dam ci dnia następującego dożyć!

Na te słowa spojrział szydersko Sebastiano na Magdufa a wstrząsając głową i marszcząc ogorzałe czoło, zdawał się naygrawać z iego pogróżki.

Znowu długie milczenie, podczas którego Magduf z spuszczonej w ziemię oczyma, za ledwie wiedział czy droga którą koń sobie obierał doprowadzi do wioski pana Valverdi, lecz nazbyt bacznym Sebastiano, widząc w podobnym stanie swojego pana pilnował dobrze drogi. Już pół godziny prawie minęło, iak gęstwę przebywali lasu, a ciągła iednostayność niezdolala wy-

prowadzić Magdufa z głębokiego zamyślenia w którym się pogrążył. Cóż jednakże tak nagle go zatrzymuje? dla czego z takim przestachem cofa konia, iż zwrot onego nagły silnie uderza go o drzewo? Jakież przedmiot tak gwałtowne mógł sprawić w nim wzruszenie? Oto koń iego tuż przed opuszczone pustelnika zawiodł go mieszkanie, widok onego, wspomnienia czynności w nim odbytych, obraz zamordowanego kapłana, to wszystko razem ukazało się w iego wyobraźni, i w taki go stan otrętwienia w prawo, że nieuczul nawet gwałtownego uderzenia. Lecz Sebastiano, co z zimną krwią na to poglądał, ten co był świadkiem wszystkiego, a może i największą sprężyną do popełnienia zbrodni, gdy spostrzegł że Magduf wlepiwszy przerażone oczy w to nazbyt pamiętne mu miejsce, wypuścił z dłoni cugle i że byłby go niezawodnie uniosł biegun pomiędzy powalone o ziemię drzewa a może i na utratę życia naraził; spiął konia ostrogami, dognał go, i w czas ieszcze wypuszczone

pochwycił leyce. Wspiął się, pianą okryty rozogniony biegun, i mimo pomocy Sebastiana, zrzucił Magdufa na ziemię. Upadek ten wyprowadził go z okropnego stanu, i tak iak człowiek głębokim snem ujęty, gdy nagle przebudzonym zostanie, zrywa się przestraszony oglądając się do koła co sen iego przerwało, tak i Magduf powstał natychmiast, spoziera dziko na wszystkie strony, i przypomina sobie iakim sposobem tak nagle zaległ ziemię. Widok chaty pustelnika wystawia mu przeszłość całą, a ten okropny upadek i właśnie w tém miejscu złowróbném napełnia go przecuciem. Trwogą zdięty iak winowayca zbliża się do tego dawnéy surowéy cnoty mieszkania, ieszcze stał tenże sam na prędcie ułożony ołtarz, a gdy rzucił wzrokiem na krzyż zbawiciela, uczucie iego w tenczas było nie do określenia. Zdawało mu się, iakoby ten syn Boga, iuż brzemię kary spuszczał na iego głowę, a ból z uderzenia pochodzący okropną z tém przywidzeniem tworzył styczność w iego umy-

śle. Zakrył oczy rękoma, sądząc że tym sposobem trwogę duszy ukoi, błędny, sumienie nie potrzebuie oczu, a czy dzień czystym słońca cieszy się światłem, czy noc nieprzeyrzaną ciemnością świat osunie, zawsze sumienie, zbrodnie nasze w żywéy i niczém pokryć się niedaiącéy stawia nam barwie. Jeden tylko środek który nam religia wskazuje zmienić ją może a tym iest pokuta, lecz serce Magdusa dalekim od niéy było. Uczuwał on to, że zbrodnie popełniał, ale by odpokutować one, musiałby najpierwsze żądze swoię poświęcić, musiał by się zrzec tego co go do zbrodni nakłoniło. Jakaż go tedy myśl w téy chwili zajmie, kiedy nie cofnienie się na drogę poprawy, to pewnie zagłębienie się dalsze w czarnéy występków nocy. Lecz to miejsce nie sprzyia téy myśli, opuszcza ie śpiesznie pomieszany; przestwór lasu, towarzystwo Sebastiana, to są przedmioty godne obrazu iego przyszłości. Znając zbyt dobrze swego powiernika, niewspomniał mu bynajmniéy o doznawanych męczarniach, a chcąc nie-

jakimś pozorem prawdy okryć swój postępek, rzecze, niewiem dla czego dotychczas godni twoi przyjaciele nie zniszczyli śladów tego ołtarza, on mógłby naprowadzić kogo na domysł.... Nie obawiaj się pan tego bynajmnię, ta nędzna chata zbyt oddalona od zamku — a potem ci godni ludzie o których pan wspomniałeś, może dla pewnych widoków zostawili go w całości. Co słyszę? przerwał Magduf, miałożby miejsce pobożności, stać się dla nich miejscem dokonywania zbrodni! Alboż go pan na inny cel użyłeś? odparł półgębkiem Sebastiano, przymrużając oczy. Westchnął Magduf, i nic nie mówiąc wszedł na koń i w dalszą puścił się drogę.

Zaledwie las minęli, rzeka co blisko o kilka staj miała swoje koryto, już lasu prawie sięgała. Zdziwiony Magduf postrzegłszy że chata rybaka trudniącego się przewozem, znikła z nadbrzeża, pewny że się stała łupem wezbrania, trzykrotnie wróg zatępił, był to znak umówiony ilekroć Rybaka nie zastał w domu. Po tym odgło-

się, długie panowało do koła milczenie, które przerywał gwałtowny pęd spienionych bałwanów unoszących z sobą wyrwane drzewa i krzewy; nareszcie z zakrętu widać ukazującą się łódkę. Magdus poznał rybaka po małym jego statku, który zaledwie oprzeć się zdołał wód natarczywości. Widząc że niepodobna było przebieść się z kołami, zsiada i oddawszy swojego Sebastianowi wracać mu każe do zamku, oraz oświadczyć Albertemu, aby był spokojnym o niego, i że dopiero za kilka dni powróci. Sebastiano, postrzegłszy gwałtowne wezbranie już i tak niewymownie był ucieszony, bardziéj się ieszcze uradował tym rozkazem co sprzyiał jego zamiarom i przyśpieszał dopełnienie onych. Jak tylko uyrzał pana na łódce, zwrócił konie, a kłójąc boki swojego bieguna równo z wiatrem las w powrocie przebywał.

Niebezpieczeństwo grożące mieszkaniu Pana Valverdi, nie małą Magdusa napełniała trwogą; lecz nie miłość dla Izaury, nie przywiązanie do iéy rodziców było o-

ney przyczyną. Nie kochał on Izaury, ale uwiadomiony o dobrym stanie iéy Ojca pragnął przez połączenie z córką zagarnąć iego majątek. Tymczasem wezbranie mogło zniweczyć iego przedsięwzięcia. — Wiedział on, że dzień wktórym przybędzie, iest dniem odpowiedzi rodziców, i nie wątpił by ona życzeniom iego nie była przyiaźną. Obawiając się czy nie zapóźno przyiedzie, czy przypadkiem, złość ludzka iuż niewydarła tego, co stać się mogło pastwą niebezpiecznego żywiołu, zapytał rybaka, czy dawno był we dworze? Ztamtąd powracam, odparł rybak, przywołano mię i dano rozkaz bym pilnie słuchał pańskiego znaku; oczekuią tam bowiem z niecierpliwością przybycia pana. Dalekoż iest woda ode dworu? zapytał niepokoiny Magduf. O kilka stay ieszcze, odpowiedział rybak. Nie przytrafiłoż się co złego we dworze? Nic zupełnie, wyiawszy że panna Izaura z przestrichu zachorowała, bo iéy ochmistrzyni nagle ią dziś przebudziła krzykiem: woda! woda! Pan-

na porwała się nagle z łóżka i to jest przyczyną.... Mniejsza oto, przerwał ucieszony Magduf odpowiedziami rybaka, rób silniey wiosłem, bo nas woda zbyt w bok unosi. Ale widząc że spracowany rybak, pomimo wszelkiey usilności, nie mógł się oprzeć bystremu iey pędowi, porwał z rąk iego wiosło, i wkrótce stanęli u brzegu.

Z szybkością strzały Magduf wyskoczył z łodzi i pobiegł do dworu. Rybak, wychodząc powoli na ląd przyciągnął czółno przywiązał je do pniaka stojącego na małym wzgórzu, i wzięwszy wiosło na ramię wracał do chaty, którą przeniósł z obawy zalania z nadbrzeża, aż po za mieszkanie Pańswa Valverdi.

ROZDZIAŁ XI.

SMUTNA Ochmistrzyni, która z łez pełnymi czyma, poglądała na wzbierający żywioł, postrzegłszy łódkę, a w niej Magdufa, z radością pierwsza z tém uwiadomieniem udała się do Państwa Valverdi, będących w pokoju dającym widok na ogród do którego Pan Valverdi utyskuiącą żonę i córkę zaprowadził. Oznaymienie przybycia Magdufa, chwilową przeięło ich radością, lubiny bowiem iakąkolwiek w nieszczęściu zmianę, choćby nawet sprawcą onéy był człowiek któremu nie bardzo sprzyiamy. Dla tego téż na wzmiankę Magdufa, lekkim szkarłatem barwą radości pokryła się twarz Izaury, ale w chwilę wewnętrzne czucie znowu tę barwę swoją pokryło odzieżą. Pan Valverdi który był wyszedł właśnie na spotkanie Magdufa iuż powracał, kiedy żona jego, tkliwém matki okiem spojierała na córkę, i dostrzegła téy nagléy przemiany na iéy twarzy, tak zgodnéy z iéy domysłami wzglę-

dem miłości którą ięý mąż napróżno rozniecić starał się w ięý duszy.

Po uprzejmém przywitaniu, milczały kobiety, sam tylko Pan Valverdi który w grożącym niebezpieczeństwie mężką zachował duszę, i uważał ie za nieuchronny wyrok Boga, uległy zstałością poglądał na przyszłość, i wyrazami ufności w Naywyższym nadziei, pociechy, starał się zawsze zagładszać ich boleści, zdolny był przerwać to milczenie. Jak widzę, rzekł, i ty kochany Magdufie, bo przebacz że ci iuż próżnych nie daię tytułów, zostawszy z kobietami, równie iak one żale byś rozpościerał. Poznaię to po twoich oczach, które albo bardzo się myślę, albo iuż są napełnione łzami. Wyznaię, odparł Magduf, że niebezpieczeństwo, a szczególnięý obraz cierpień wyryty na twarzy nadobnéý Izaury, zdołałby nawet naynieczulsze roztkliwić serce.— Lecz z drugieý strony nie widzę przyczyny, rzekł dalej, do tak dręczących boleści. Prawda, że wezbranie rzeki, zagraża zamkowi zalaniem, lecz ieszcze iest czas, mo-

żemy naywiększym zapobiedz szkodom, byłem świadkiem podwakroć podobnego nieszczęścia przeszłego posiadacza téj włości, który wczesnie kazawszy powynosić wszystkie sprzęty, aż za wzgórze ogród opasujące, uchronił się od znacznych strat przynajmniej. Rzeka nie tak gwałtownie wzbiera, radziłbym więc tego samego użyć sposobu. Valverdi usłyszawszy drugą już podobną radę, natychmiast przedsięwziął przywieść ją do skutku i w tym względzie stosownie poszedł wydać rozkazy.

Po oddaleniu się Valverdego, Magduf myśląc tylko o sposobach nayrychlejszego zagarnięcia iego majątku, to jest o połączeniu się z Izaurą, milczał ciągle. Jego oczy wlepione w ziemię, twarz zasępiona przelotem snujących się myśli, korzystnie wystawiały go w oczach matki i córki. — Sądziły one, że obecne położenie jest tego przyczyną, i to życzliwość ich ku niemu nakłaniało. Serce Izaury, nie czuło wprawdzie ieszcze miłości, ale doznawało słodsze-
go niż przedtém uczucia, bo kiedy nam

grozi niebezpieczeństwo, niech i naywiększy nasz nieprzyjaciel poda nam sposoby uniknienia go choć w części, niech się losu naszego użali, a nienawiść ku niemu znika powoli. Już tedy Matka i stara Ochmistrzy ni Izaury, z życzliwością spoglądały na Magdufa, i wyrzucały sobie skrycie, że tak złe miały o nim mniemanie, sama nawet Izaura wstręt ku niemu sobie nagoniała.

Magduf wychodząc z głębokiego zamyślenia rzucił wzrok na Izaurę, która natychmiast spuściła ku ziemi te oczy, co przed chwilą tkliwie nań spozierały, i może pierwszy raz dopiero postrzegł iak piękną była. Kto inny na iego miejscu, gdyby był w téj chwili pierwszy raz spojrział na nią, zobaczył tę twarz świeżym zdobną rumieńcem, te kilka łez z pod ciemnych wyronione powiek, iużby przestał bydź panem swojego serca; lecz dusza Magdufa obojętną była na to wszystko i tylko chęć zagarnienia wraz z iey ręką znacznego posagu wydarła z piersi iego westchnienie. Jakże ono głęboko przeię-

ło tkliwe i miłości pragnące serce Izaury, to westchnienie, więcéy za nim w téy chwili przemówiło, aniżeliby on kiedy wyrazić zdołał. Poznała słabość swoją Izaura, a chcąc ustrzedz się nierozsądnego kroku, póki ieszcze władała sercem swoim, wszystkimi siły wdzieraiące się iuż uczucie wstrzymywała, przywodząc sobie na pamięć to wszystko, co go dawniéy oboiętnym iéy czyniło. Szczęśliwą będziesz Izauro, ieżeli cię ta moc duszy późniéy nie odstąpi!

Panie Magduf, ozwała się pierwsza pani Valverdi, sam nas uspokaiałeś, a teraz dręczysz się cierpieniem; miałażby kobieta stałość przyzwoitą mężczyźnie przypominać? W prawdzie miło nam iest, że położenie nasze tyle go zajmuie, lecz prosimy cię racz porzucić smutek, który w twoiéy nieobecności dość długo nas udręczał; niech przynajmniéy ta chwila kiedy obecnym iesteś przerwę w nim uczyni. To rzekłszy Pani Valverdi otarła skrycie kilka łez, widząc ile iéy mowa sprawiła na Magdufie

wrażenia. Przebacz mi pani, odpowiedział Magduf, zmyśloną pokory i wdzięczności za dobre o sobie mniemanie przybierając postać, lecz próżno chciałbym udawać spokoyność, próżno kiedy cierpiącą widzę Izaurę. Mógłżebym byđź nieczułym na ięy zmartwienia? To rzekłszy spuścił oczy, obawiając się, aby dusza spreczna z iego mową nie wykryła się w nich iawnie. — Dziękuję panu, skromnie odpowiedziała Izaura, za tę życzliwość dla naszego domu, i day Boże aby moi rodzice kiedyś zawdzięczyć mu ią mogli. Zaledwie to wymówiła, nowy rumieniec pokrył ięy lica, zdawało ię się że za nadto powiedziała. Spozstrzegł to Magduf, a w odpowiedzi ięy przewidując pochlebną dla siebie odpowiedź rodziców, z najwyższém uniesieniem radości, zrządzonéy chciwością, ucałował rękę Izaury. O Pani! zawołał, jeżeli przywiązanie moje do twoich rodziców, godne jest iakiego zawdzięczenia z ich strony; wiedzą oni czym mię zawdzięczyć potrafią. Oby to Bóg sprawił iżby mię nadzie-

ie moje nie omyliły, a wtenczas któżby o-
demnie mógł nazwać się bogatszym! Wiak
przeciwnym znaczeniu wzięła ten ostatni
wyraz Izaura, poznać można było, ze skro-
mnie spuszczonej natychmiast oczu. Pa-
ni Valverdi, na pozór tylko zważając, cie-
szyła się zawczasu pomyślną przyszłością
corki, i z utęsknieniem zdawała się wy-
glądać chwili, która skoiarzyć miała już
upragnione teraz od niéy zamęzcie.

Tu wszedł Pan Valverdi, a widząc na
twarzach wszystkich malującą się spokoy-
ność; cieszy mié to, rzekł kochany Mag-
dufie, że potrafiés ułagodzić prózne oba-
wy kobiet; ia mimo wszelkich starań do-
kazać tego niemogłem, widać że wiek i
piękna postać nie iest bez znaczenia i bez
mocy u téj płci trwożliwéy. Ja ledwom
iedną zaspokoił, i udał się z przekładaniem
do drugiéy, już ci tamta znowu szlochać
zaczyna; a ty w kilka minut wszystkie trzy u-
spokoileś. Lekki uśmiejch ukazał się na
twarzach, a to ieszcze bardziéy ucieszyło
cnotliwego Pana Valverdi. Ale przykro

mi to bardzo, rzekł po nieiakiéy chwili, że tego sprawcę waszéy spokoyności, muszę wziąć z pośród was. Wiadomy ci interes kochana żono, wymaga tego, i ty córko zapewne się domyślasz o co nam idzie; twoie zniżające się do ziemi oczęta, przeświadczaiają mię o tém. A więc weselcie się tu iak możecie, bo niema się wistocie o co smucić. Wszystko iuż powynoszone, a zamku woda przecież niezabierze, uszkodzi go trochę, no, znać taka wola Boża; znieśliśmy nie iedno z uległością, przy pomocy Wszechwładnéy i to zniesiemy. To rzekłszy wziął pod rękę Magdufa, i wyszedł z nim na ogród.

Nadeszła upragniona chwila dla ostatniego, niewątpił bowiem iż dla tego wyprowadził go pan Valverdi z zamku, by mu na osobności dadź odpowiedź na wniesioną prośbę. Lecz im bardziey zbliżała się ta chwila, tajemna trwoga którey powściągnąć niemógł, ogarnęła go całego, i musiał wszystkich sił użyć by niezdradzić przyiętéy roli. Niespokoyność ta nie uszła

baczności Pana Valverdi, lecz mniemając, że to chwila, zbliżający się odpowiedzi, jest tego przyczyną, mimo ją puścił. Wznaczną od zamku odległość wiódł gęsty szpaler aż do wzgórza prowadzący, tam to pod tą naturalną granicą, ocieniona gęstwą pnących się powoiów i wybiegających krzewów stała altana, tam spoczęli Magduf i pan Valverdi. Milczał pierwszy, bo sumienie ktorego głos ieszce odzywał się w jego duszy, rwało mu słowa w ustach i w piersiach głos niszczyła. Sama ta myśl że ślubnym węzłem ma się połączyć z Izaurą, że iuż takiż sam węzeł, chociaż tylko zmysłony wiąże go z Rozamundą, drżeniem go przeymowała. Lecz kto tyle występków dokonać zdołał, kto tylekroć przytłumił ożywiający się głos tego nieodstępnego świadka, ten go ieszce raz przytłumić zdoła. Dokazał tego Magduf, spuścił oczy, i oczekiwał z udanym pokoiem odpowiedzi pana Valverdi. Magdufie, ozwał się tenże, prosięś mię o rękę córki moięy, przyrzekłem dadz ci odpowiedz za pierwszym widze-

niem się z tobą, chcę dotrzymać przyrzeczenia. Izaura niezbyt dawno ciesząc się twoją znaiomością, poznać cię dokładnie niemogła. Jaktó? przerwał przerażony Magduf, któremu zerwanie wszystkich nadziei stanęło natychmiast w wyobraźni, Izaura miałażby mię odrzucić, miałażby wzgardzić połączeniem się zemną? Ja tego niemówiłem, odpowiedział Pan Valverdi, ale znasz zapewne kobiety, i nieweźmiesz to za złe że w takiéy chwili rozwagi potrzeba, lecz córka moja zawsze posłuszna, przyrzekła dopełnić moiéy woli. Ja chętnie pobłogosławię ten związek, lecz Magdufie, proszę cię ieszcze o tydzień zwłoki, nie dla mnie, bo ia w krótkim czasie iuż dosyc cię poznałem, lecz dla Izaury. Przez ten czas będziesz u mnie, będziesz miał i ty sposobność poznania lepiéy Izaury, i ona wzaiemnie poznania ciebie. Ręczę że oboje niestracie na tem. Nie tego spodziewał się Magduf, i to go zasmuciło; ale pragnąc iak nayprędzéy dowiedzieć się o posagu Izaury, podeyściem postanowił tego doko-

dokonać. Panie, rzekł po nieiakiéy chwili, może szupły mój maiątek iest przyczyną téy zwłoki. Magdufie, przerwał Pan Valverdi, gdybym cię nie znał, i nie był przekonany że miłość przez ciebie mówi, obraziłbym się tą mową. Rozumiałem że przeświadczony iesteś, iż obierając męża dla moiéy córki, nie pragnę iego maiątku; owszem poznawszy sposób iego myślenia, oddawszy mu Jzaurę, oddam mu w zarząd *dwadzieścia tysięcy realów*, będące iéy posagiem, a razem maiętność przezemnie posiadaną. Chcę przy szczęśliwych dzieciach spokojnie na ich łonie dokonać życia; a ty sądzisz że ia się chcę twoim z bogacić maiątkiem! Oh przebacz mi, przerwał Magduf, rzucając się do nóg Pana Valverdi, przebacz mi oycze zbytek miłości, niepewność względem twoiego postanowienia... niemógł więcéy mówić, radość tamowała mu mowę. Podniósł go Valverdi a sądząc o szcerości wszystkich po sobie, uściśnął go tkliwie, nazywając synem swoim.

Magduf przyrzekł, że przez czas nazna-

Część I.

6

czony zatrzyma się w domu pana Valverdi. Ułożyli, że razem iak tylko niebezpieczeństwo grożące zamkowi minie, udadzą się do dziedzictwa Magdufa, i że po wyznaczonym przez pana Valverdi czasie, święty węzeł ślubu połączy ich na wieki.

ROZDZIAŁ XII.

JAK tylko oyciec Marcello po głębokiem wzruszeniu przyszedł do siebie, Rozamunda krzając się zaczęła około przygotowania skromnego posilku. Z iakąż skwapliwością dozierała i powinności matki i obowiązków wdzięczney córki. Znużony starzec, łzawém okiem poglądał na cnotliwą Rozamundę, która, gdyby nie miłość dla występnego, stałaby się rozkoszą pocziwego męża i pociechą iego starości. Mała Karolina przyniosła iey drzewo na kominiek, rozpalila ogień, i dopomagała matce w czem tylko mogła. O iak ta szupła rodzina, mogłaby bydź szczęśliwą! pomyślał starzec, widząc iak Rozamunda pamiętając na to że iest matką, zapominała zupełnie osobie, gdyby Magdus... wzdrygnął się na to inię Marcello, i to wszystko co mu Rozamunda powiedziała, zdawało mu się zmyśleniem. Gdyby on został iey mężem

czyliżby iey dozwolił w nędzney mieszkać chacie, zostawił bez posługi? O nie, w tym iakaś tajemnica się ukrywa... ten ślub dany przez nieznaomego kapłana, w obecności iednego zuchwałego słuźalca..., rozkaz zataienia go przedemną z obawy moiéy surowości.... Magdufie, zawołał z cicha Marcello, zapomniałżeś o tém, że postrzegłszy okropny stan w który ią haniebna namiętność twoia wtrąciła, przebaczyłem ci prosząc nawet, abyś umniejszył tę hańbę zawarciem związku; a teraz, kiedy miałeś dopełnić moiéy prośby lękałeś się moiéy surowości? O nie! nie, ten ślub iest podłą zdradą, a Magduf występny! Boże, wskaż mi w téy ciemności promień światła, abym czystą mógł przyrzeć prawdę.

Rozamunda zastawiła stół przy pomocy swéy córki, i niezadługo podała Marcellemu zgotowany zasilek. Potrzebował go starzec, bo iuż dzień blisko cały niemiał nic w ustach. Lecz nim ieść zaczął, spojrział wprzódy litośnie na Rozamundę, irzekł

z westchnieniem, co ie wycisnęło przeczu-
cie okropne: o droga córko, gdzież ten czas
kiedy mi w moim domu podawałaś zasi-
łek? wtedy szczęśliwy byłem, bo chociaż
widziałem twoją niedolę, miałem cię jednak
przy moim boku, mogłem przynieść ulgę
twoiey boleści; ale teraz oddalony od cie-
bie nie mogę cię pocieszyć, ni trosk two-
ich łagodzić. Luba Rozamundo, ieżeli przy-
wiązanie oycy ma ieszcze iaką u ciebie ce-
nę, ieżeli dbasz o moię spokojność, ieżeli
nakoniec pragniesz swobodną mi chwilę
śmierci sprawić, wróc na łono moie, ono
zawsze dla ciebie otwarte, ono bez ślubu
niezmienne zachowuie ci przywiązanie, ono
ie do zgonu zachowa, a Magdulf... Magdulf!
przerwała przerażoną straszliwą przepo-
wiednią Rozamunda, Magdulf mię wiecznie
kochać będzie i gdybyś Oycze był świad-
kiem ostatniéy naszéy rozmowy, pewna
iestem, żebyś przestał wątpić o iego sercu.
Moja córko, rzekł Marcello, zwodziciele,
zdraycy, naypiękniéy mowić umięą, go-
rycz słodyczą zaprawiaią, różami przepaść

barwia. Ale na cóż cię mam zasmucać bar-
 dziej moje dziecię; to ci tylko powiadam;
 że będąc kochanką, niezapominaj o tém ni-
 gdy że jesteś matką; cokolwiek bądź się
 stanie, iakikolwiek los twój przyszły bę-
 dzie, niech ta myśl „jestem odpowiedzial-
 ną jak Matka” zawsze będzie przytomną
 twojej pamięci! To rzekłszy, otarł łez kil-
 ka starzec i jeść zaczął, „Niezapominaj o
 tém że jesteś matką” powtórzyła z cicha
 Rozamunda, i pobiegła do niemowlęcia,
 które zlodowaciałe prawie rączyny wycią-
 gało ku niéy z pod nakrycia. Przycisnęła
 je do swego serca, gorącemi skropiła łza-
 mi, tchem swoim ogrzewając stygnące dzie-
 ciny ciało. Ta nagła zmiana w jego zdro-
 wiu nie uszła baczości matki, a widząc
 iak zwolna powlekły się posępnie drobne
 oczęta, wydała krzyk przerażenia. Opuścił
 natychmiast stół Marcello, i udał się do
 Rozamundy. W istocie dziecię było bar-
 dzo słabe i życie jego już na wą-
 dły trzymało się nici. O któż wyrazić zdo-
 ła, co wtenczas czuło macierzyńskie serce!

wielką jest utrata ulubionego przedmiotu dla każdego, dla kochających, postradanie miłości, ale cóż może iść w porównanie z boleścią matki, co bliską śmierć dziecięcia swojego przegląda! Wlepione oczy, które z wytężenia prawie krwią zachodzą, chciałaby bowiem przeyrzcć aż w wnętrze dziecięcia, łzy kroplami spadające po boleścią zrytęj twarzy, nareszcie to drżenie które ją całą przeymuie, to zimno krew jej studzące, i żar palący, których kolejno doznaje, stósownie do każdéj zmiany na twarzy dziecięcia, są nie do opisania. Lecz starania Marcella, naysczulsze pielęgowanie matki, ukoilo nieco lubéj dzieciny cierpienia. Już zasypiało, a Matka niedowierzając oczom swoim, zapewnieniom Marcella że śpi, budzila je co chwila, aby się przekonać czy snem śmierci nie zasnęło. Przekonawszy się, że niebezpieczeństwo nieco minęło, zdawała się bydź spokojniejszą cokolwlek. Marcello usiadł obok niéj i oboie niespuszczali oka z dzieciny.

Długie było milczenie, gdy nagle przerwała ie Karolina postrzegłszy, siedząc przy oknie, zbliżającego się Alberti. Ah ojcze, ojcze, zawołała, idzie ten sam pan którego z ojcem dziś rano widziałam w lesie. Czy tu idzie moja córko? zapytał Marcello. — Tak, zdaje mi się że tu... ale nie... stanął... ogląda się na wszystkie strony. Pozwolizli mi go tu wprowadzić Rozamundo, to iest zacny młodzieniec a potém przyiaciel twojego Magdufa. Czyń co ci się podoba mój ojcze, odpowiedziała nie wiedząc co mówi, Rozamunda. Starzec wyszedł naprzeciw Albertego i wprowadził go do chaty. Otóż to iest, rzekł wprowadzając go, ta Rozamunda o którą ci się pytałem, Rozamunda lekkim nachyleniem głowy, powitała Albertego. Wyznaię że nie wiedziałem nawet rzekł Alberti czy ta chata iest zamieszkałą; od dwóch lat bowiem opuszczona stała; a prócz tego, Magduf nie lubi téy strony lasu, i nigdyśmy go nie zwiedzali. Magduf nie lubi téy strony lasu? powtórzył z westchnieniem Mar-

cello, czy słyszałaś Rozamundo? A przecież dosyć często ją odwiedza? odparła niechętnie. To byź może rzekł Alberti, nie posiadam bowiem od niejakiego czasu jego zaufania, wszystko teraz tai przedemną, nie wspominał mi nawet nigdy o znajomości z panią? Nigdy? ozwał się Marcello, może z obawy rodziców.... Rodziców? zapytał zdziwiony Alberti, czyichże? Właśnych, odparł Marcello. Błąd was uwodzi oboje, Magdusf niema rodziców, a przynajmniéy jak tylko zapamiętać mogę, niewidziałem ich wcale. Magdusf iest sam tylko, a ia którego zaszczcił imieniem przyjaciela.... Niema rodziców! przerażona Rozamunda zawołała, Magdusf niema Rodziców! nie, to byź niemoże, dla czegożby się obawiał gniewu oycy, dla czegożby mié niechciał wprowadzić do zamku? miałżeby się wstydzic swéy żony! Żony? przerwał zdumiały Alberti, iakto pani, ty żoną jego iesteś!... Tak iest, Magdusf iest oycem tych dzieci. Nieszczęśliwa! zawołał Alberti, nie

**

dosyc na tém że Magduf iest ich oycem, lecz połączyłyż cię z nim śluby małżeńskie? W obliczu Boga, Kapłana, i nieodstęp nego iego Sebastiana przed kilka tygodniami, wykonaliśmy oboie przysięgę; lecz zaklinam cię panie, nie mów o tem nic Magdufowi; kiedy ożenienie swoje zataił przed tobą, widać że musiał mieć powód do tego. Będę szanował powierzona mi tajemnicę, może też nadeydzie chwila, że Magduf lepięy poznawszy serce Albertego sam mu ją odkryie. Umilkł Alberti, strapiona Rozamunda łzy skrycie ocierała, gdy Marcello po nieiakins namyśle wysłuchawszy z uwagą całej téy rozmowy, nagle powstał i gotował się do wyjścia. Oycze, gdzież chcesz iść? zapytała się przelękniona Rozamunda, zgaduiąc zamysł Marcella. Do zdraycy, odparł z gniewem Marcello, co cię uwiodł i oszukał w obliczu Boga, znyślonym ślubem. Kapłan co wam go dawał był ci nieznaiony, świadkiem onego był zbrodzień równy panu Sebastiano, oltarz spustoszałe Pustelnika

mieszkanie! O! przewiduję całą okropność, i całą zdradę tego postępku. Po cóż ślub tajemny? kiedy niema rodziców, oycza zabraniającego wchodzić mu w te związki? Nie, póyde do niego, wystawię mu hańbę którą cię okrył, wystawię obmierzłość dopuszczonéy przezeń zbrodni; a ieżeli to wzruszyć go niezdola, ieżeli dziś ieszcze nie wynagrodzi twoiego skażenia, publiczném z tobą się połączeniem, tedy przy sięgam na Boga, że się udam do stolicy, rzucę się do nóg Panującego, i zażadam sprawiedliwości!

Do głębi przerażona Rozamunda, bez zmysłów padła na ziemię usłyszawszy mowę Marcella. Okropna prawda, z pod grubéy złudzenia ciemnoty ukazywać iéy się zaczęła. Roztkliwiony starzec stanem córki, którą po długim staraniu ledwie z Albertim wrócić do przytomności zdołali, głośnie wydawał łkania; a zasłaniając twarz rękoma, chciał zasłonić przed sobą wciśkaiące się okropnego przewidywania światło.

Móy oycze, rzekła przerywanym głosem Rozamunda; zaklinam cię nie chodź do Magdufa, on tu sam jutro będzie, i pewną iestem, że wszystko szczęśliwie się zakończy. Serce iego nie iest nieczulém, próby znajdą przystęp do niego, wyzna mi prawdę, i sownie cierpienia moje miłością swoją wynagrodzi. O córko, rzekł starzec, dalby to Bóg, aby się twoje ziściły nadzieie! Usłucham cię, dziś ieszcze wrócę do domu, lecz przyrzecz mi wprzódy, że po jutrzejszém rozmowie z Magdufem, doniesiesz mi o wszystkiém. Przyrzekam ci móy oycze, drżąc i łzami zalana odpowiedziała Rozamunda, lecz któż ci poniesie tę wiadomość? — Jeżeli mię Pani usłnością swoją zaszczysz, przerwał z uszanowaniem Alberti, ia uwiadomię o wszystkiém tego czcigodnego starca. Dzięki ci zacny młodzianie, rzekł Marcello, całując go w głowę, ale nie wiesz gdzie iest moje mieszkanie? Odprowadzę cię teraz do niego, rzekł Alberti. A oddalenie się twoie, nie wznieciż iakiego podeyrzenia

w twoim przyjacielu? Niema go w zamku, dziś rano z ulubionym swoim Sebastiano opuścił go, i zapewne wieczór dopiero powróci. Oh synu mój, czymże ci ten cnotliwy postępek wynagrodzić zdołam! Szacunek twój, odpowiedział szlachetny Alberti, dostateczną dla mnie stanie się nagrodą.

Po dwu godzinnéy ieszcze rozmowie, której przedmiotem starano się by iak nayrzadziéy byli Magduf i Rozamunda, Marcello pożegnawszy czule ostatnią, uściskawszy tkliwie dzieci i po błogosławieństwie daném wszystkim, wyszedł z Albertim.

ROZDZIAŁ XIII.

Zaledwie godzina upłynęła po zachodzie słońca, a już gruba ciemność pokryła ziemię; niebieskawy widnokrąg tysiące czarnych nieprzeyszanych chmur zakryło, gwałtowny wiatr przepędzał je z szybkością z miejsca na miejsce i wstrzymywał ulewny deszcz w łonie ich zawarty. Zdala głuchy grzmot przepowiadacz burzy często słyszeć się daie, a błyskawice rozdzierając masy zbitych chmur ukazują ogień, co wkrótce wypaść ma w powietrze. Prerażający szelest liści wstrząsanych wiatrem, skrzypiące blisko siebie wzrosłe sosny których zginają się wierzchołki, smutny czasami tylko ozywający się pisk ptasząt goniących za schronieniem, pieniące się i z szumem pędzone wiatrem bałwany wzbierający rzeki, wszystko to okropny stawiło widok. Znagła grom po gromie słyszeć się daie, błyskawice ćmiącém świa-

tłem oświecaią ziemię, wiatr wolnie, a deszcz potokami spada. Któż-iednakże odziany płaszczem, na wąskiéy łódce, rzucańey prawie bałwanami z niebezpieczeństwem życia przeprowia się przez rzekę, i iacyż to ludzie stojąc przy brzegu chronią się starannie od burzy? cóż znaczy to panujące między niemi milczenie? dla czegoż ieden z nich stojąc nad samym rzeki brzegiem uważa pilnie przepływającego i rzuca często spojzenia na wszystkie strony, a gdy błyskawica światło ukaże, zda się że iéy złorzeczy, i schyla się natychmiast ku ziemi, iakby obawiając się by nie bydź spostrzeżonym.

Domyśli się zapewne czytelnik, kto są ci ludzie, i iaki ich zamiar sprowadził. — Zwrócone oczy wszystkich na zamek Pana Valverdi, łatwo każdemu domyślećby się dały, że on przedsięwziąć ich celem. Lecz mogliż się tego domyśleć Alberti i Marcello, którzy właśnie pod ten czas do brzegu rzeki zbliżali się. Zdala ieszcze spostrzegli tę gromadę przy świetle bly-

skawicy, lecz nie wiedząc co to są za ludzie, nie śmieli ich zaczepić, przeciwnie sami unikali zaczepki, a spostrzegłszy zdaleka doganiającą brzegu łódkę, sądzili że to był rybak który niemogąc zabrać wszystkich od razu, wracał po większy statek. Jak powróci, rzekli z cicha do siebie, a będzie i dla nas miejsce, wsiądziemy z nimi razem, a teraz rzekł daléy starzec, spoczniemy pod temi drzewy. To rzekłszy siedli obadwa na ziemi. Już burza ustawała, lecz ciemność iéy iuż w pomrok nocy się zamieniła; cichość panowanie ogarniała, wokoło przerywały ją tylko nieuspokoione ieszcze wód bałwany, i spadające z drzewa krople deszczu. To wszystko iednakże nieprzeszkadzało znużonym naszym dwóm podróżnym do wysłuchania następującéy rozmowy:

Jeden z gromady, A coż Vidlécy, nie wraca ieszcze nasz przewodnik?

Vidlécy. Bah, więcéy zimnéy krwi mój bracie; kto chce co zrobić dobrze, ten musi mieć czas na to. Choć wistocie i ia

chciałbym iak nayprędzėj obeyrzeć pokoi nowego dziedzica; ale cóż robić, iak mówią co się odwlecze to nie uciecze.

Jeden z gromady. Musi on mieć wiele pięknych rzeczy, których nam niedostaie do naszego szczęśliwego życia. Rozumiesz mię *Vidléy* o czém ia mówię.

Vidléy. Czy rozumiem?.. alboż ia to nie twój kollega żebym nie miał rozumieć; oy zmiatać téż będę, a to bez najmniejszego skrupułu. Był on prawnikiem, zdierał innych, wet za wet i my go dziś oskubiemy.

Jeden z gromady. Ma mieć ładną córkę, żeby to ią można śpiącą zastać; toby w naszym pańskim mieszkaniu, cokolwiek wesełéy było.

Vidléy. Ani myśl otém, zapomniałżeś że nasz szanowny przewodnik, wyraźnie zabronił zbliżyć się nawet do niéy. Przecież wiecie, że ona ma wkrótce zostać żoną *Magdufa*.

Jeden z gromady. Oh co za szkoda, że zabroniony ten owoc; może ten Pan *Mag-*

duf, przyszedłszy iéy mąż, iest szalenie w niéy rozkochany, toby nam dobrze za odkrycie iéy schronienia zapłacił, tak iak się to nam nieraz już udało; porwawszy pannę, udadź się potem z uwiadomieniem, gdzie się znajduje; a można dobrze wysydz na tém. Pamiętaj Vidlę iak Se.....

Vidlę. Milcz, zapomniałeś że on w gromadzie Francisco się nazywa?.. Ale czy widzę? rzekł po nieiakiéy chwili, wszak ci on już powraca. wstańcie i bądźcie gotowi do przeprawy; łódź mała, trzeba więc będzie niektórym wplaw rzekę przebydz.

Łatwo się można domyśleć iakie ta rozmowa wrażenie na Marcellu i Albertim sprawiła. Nie wątpili już bynajmniey że ta gromada była łotrów zbiorem, i że zamysłala napaśdz skrycie na zamek. Ostrzedz przeto Pana Valverdi poczytali sobie za obowiązek, lecz iakim sposobem przebydz rzekę? Miał wprowadzie Marcello znak umówiony z rybakiem, lecz możnaż było teraz go przywołać; byłoby to iego i siebie wy-

stawić na niebezpieczeństwo. Czekamy cierpliwie co się dalej stanie — łódka przybiła do brzegu z przewodnikiem, może usłyszymy co nowego.

Jakoż w istocie gromada powstawszy otoczyła przybyłego kolegę. Ostróźniejszy iak inni, czyli to z przezorności, czyli z przyzwyczajenia, niedowierzając nocy, przez długi czas opowiadał coś z cicha swoim towarzyszom. Widać że to opowiadanie musiało sprzyjać ich zamiarom, bo kilku z nich ścisnęło go, a wszyscy radośnie powtórzyli: o północy!

Po nieiakiem milczeniu, znowu tenże sam którego gromada Francisco nazywała, wsiadł w łódkę i szybko odpłynął; wszyscy, prócz jednego który zdał się straż trzymać, zalegli ziemię.

Marcello i Alberti cofnęli się nieco w las, aby być bezpieczniejszymi i naradzić się nad sposobami zapobieżenia nieszczęściu cnotliwego Valverdi. Będąc już w znacznej odległości od gromady, Marcello rzekł do Albertego. Teraz ja twoim przewodnikiem

będę, znam dobrze te nadbrzeża i mimo ciemność nocną zdołamy przejść do miejsca, gdzie niepostrzeżeni od gromady, bo przedzieleni od nięć dość wyniosłym pagórkiem gęstwą drzew okrytym, będziemy mogli rozniecić ogień i wkrótce poczciwy nasz rybak, tego tylko znaku oczekujący, przyplynie po nas, a w ten czas dołożymy wszelkich starań, aby przytrzymaniem Franciscy, zapobiedz napadowi ich na zamek. — Już przebywają pagórek, Alberti wspiera chwiejące się kroki starca, któremu zdało się iż nadzieia ocalenia majątku dziedzica tęć wioski której był Plebanem, nowych sił dodawała. Rozniecają ogień, a w kilka chwil spostrzegając się dać zdala statek przerynający z szybkością wód powierzchnię. Ucieszony Marcello, pokorne zasyła do Boga dzięki i w uniesieniu przyjaźnęć nadziei zapomina o wszystkiem; nawet o okropnęć którą powziął wiadomości, że córka Pana Valverdi miała zostać żoną Magdufa. Taką to miłość bliźniego miała nad nim władzę. Oh Alberti, zawołał, dzięki powinienem

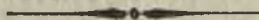
złożyć Opatrzności, która burzą wstrzymywała nasze kroki; bo gdyby nie to, Valverdi możeby utracił cały majątek, a może i najdroższyby skarb postradał, bo iędyną córkę... Córkę! powtórzył z boleścią i zamilkł. Po nieiakiéy chwili, czy przypominasz sobie, rzekł do Albertego, rozmowę?...ona ma zostać żoną Magdufa! Miałoby to być prawdą? lecz z kądże ta wiadomość doszła aż do nich? Ja nic o tém niewiem, a przecięż Pan Valverdi zasczyca mię swoim zaufaniem. Nie, to fałsz godny ust które go wydały. Alberti przeciwnie mniemał, ten skryty, niedowierzący Magduf, iuż mu się wydawał zdolnym na wszystko i byłby niezawodnie myśl swoją otworzył w téj mierze cnotliwemu Marcello, gdyby przybycie rybaka niezmieniło stanu rzeczy.

Sczęśliwie przepłynęli rzekę, w drodze dowiedział się Marcello od rybaka, o przybyciu do zamku narzeczonego, na którego z utęsknieniem oczekiwano. Narzeczonego?, zapytał przerażony Marcello. Tak panie,

odparł przewoźnik, powiedziała mi Ochmi-strzyni, że wkrótce będzie w zamku we-sele, że narzeczonym jest bardzo bogaty dziedzic dóbr z tamtéj strony rzeki leżą-cych; i że dziś właśnie miał odebrać przy-rzeczenie rodziców. Ale mi się zdaie, że to jest ten sam który tak często bywał da-wniéy u ciebie panie, gdy Panna Rozamun-da ieszcze mieszkała wtéy wiosce; byłem pewny że on z nią się niewątpliwie ożeni. Ta mowa rybaka zniszczyła iuż wszelką wą-pliwość, teraz dopiero poznał Marcello pra-wdziwą przyczynę, oddalenia od swego loku drogiéy mu Rozamundy. Zdrayco! zawołał z boleścią, niedopniesz niecnego twoiego zamiaru, zedrę ci maskę wobec wszystkich; dzięki ci Boże, że mieszcze wcze-śnie przybył, by zerwać wszelkie stosunki zayść mogąco pomiędzy nim a Panem Valver-di. Ten szery, łatwowierny i kochający nad wszystko swą córkę oyciec, mógłby ją wkrótce naynieszczęśliwszą uczynić. Szla-chetnym gniewem oburzony Marcello, pro-sto chciał się udadź do zamku, lecz go prze-

łożenia Albertego wstrzymały, i postanowił nazajutrz dopiero widzieć się z Panem Valverdi. Ale niebezpieczeństwo, rzekł znowu Marcello po nieakiéy chwili, grożące zamkowi, czyliżeś zapomniał o nim Alberti? Przeciwnie, odparł tenże, ty oycze iesteś nazbyt wzruszony, chciałem cię odprowadzić do domu a potem pobiedz z ostrzeżeniem do Pana Valverdi. Z ostrzeżeniem? zapytał rybak który zdala idąc za nimi przysłuchiwał się ich rozmowie, aby ią potem mógł opowiedzieć staréy Ochmi-strzyni, alboż to Pana Valverdi czeka iakie nieszczęście? Alboli nie wiesz, odpowiedział Marcello, iakich to gości wezbranie rzeki do naszéy wioski sprowadza, omiiaią oni zawsze skromne chaty, lecz wzniosłego zamku pewnie nie ominą. Nic w nim oni nie znaydą, rzekł rybak, inż wszystkie sprzęty powynoszone w bezpieczne i pilnie strzeżone miejsce; a to za poradą narzeczonego, który iak naystaranniey pilnował przeniesienia. A narzeczony, czy ieszcze iest w zamku? Jest, odpowiedział rybak i po-

dobno dopiero odiedzie, iak woda opadnie
 Nieszczęśliwa Rozamundo, rzekł z cicha z
 westchnieniem Marcello, iutro spodziewasz
 się iego przybycia! Nię mógł zrozumieć
 tego rybak, lecz zasłyszawszy westchnienie,
 cóż wam to panie? iesteście smutni. Nic,
 odpowiedział Marcello, a gdy brzegu do-
 sięgli udał się z Albertim do swojego mie-
 szkania.



ROZ-

ROZDZIAŁ XIV.

Noc coraz grubszą pokrywała się zasłoną, ani iednéy gwiazdy nie było na widnokręgu, szybko przebiegające czarne chmury, oznaymiały że ieszcze zupełnie nie przemięła burza. Wiatr zrywał się czasami i uderzając w wód powierzchnię, łamał ją, i z gwałtownością pędził tworzące się na niéy bałwany; które z głuchym hukim przypędzone na brzegi, co raz bardziéy ie zalewały. Już w całéy wiosce panowała cichość, pogasły światła, iuż wszyscy prawie snem się cieszyli, a przynaymniéy każdy z mieszkańców zalegał iuż posłanie; gdy na wybiegléy kościelnéy wieży, zegar północ uderzył. Ale gdy wszyscy snem się cieszą, zbrodnia czuwa, i obmierzłe układa plany. Nie uszło baczości Francisca, że wszyscy wieczorem opuścili zamek, że drzwi przednie zamknięto, i udano się do ogrodu. Pomyślając że czas nie wzywał

Część

7

do przechadzki, zdala wyśledził wszystko, i dowiedział się że mieszkanie ogrodnika, aż pod wzgórzem leżące, stało się wszystkich mieszkaniem. Tym lepiéy, rzekł sam do siebie, niebezpieczeństwo i obawa oddaliły ich zamku; pewne tedy czekaia nas korzyści bez żadney dla nas szkody; bo choćby było i kilku słuźalców, tych łatwo pozbydź się będziemy mogli. To wyrzekłszy sypie proch w pistolet, nie przybiiiając go, zbliża się po nad rzekę i strzela. Niecierpliwa gromada, postrzegłszy znak umówiony, zamiast gotować się do przeprawy, i czekać przybycia Francisca, rzuca się natychmiast w wodę; a zagrzana nadzieią rabunku w krótkim czasie przepływa rzekę.

Po chwili spoczynku z utrudzenia, każdy porwawszy iakąkolwiek broń z łódki swego przewodnika, czekał tylko iego rozkazu. Ten równie iak i oni chciwi zdobyczy, nie długo czekać im dał na niego. Hasło iuź dane, zapalono skryte latarki i w kilka chwil iuź wszyscy znajduia się w

zamku. Wytrzeszczone oczy, ręce do łupcu gotowe, postępn wszystkich milczący. Przebiegają dom cały, odrywają wszystkie zamki, najmniejszy przetrząsają zakątn, nic nie znajdują. Rozpacz, gniew, ogarniają ich dusze. Już pragną zawiedzenie swoich nadziei wyrzucić na przewodzcyn, gdy tenże w niednyn chwili szatańską myśl powziąwszy, zawołał: bracia, nie traćmy nadziei, a zawiedzeni w zamku, znajdziemy wszystko w mieszkaniu ogrodnika. Spieszmy tam co prędzyny. Wybiega zgraia, skrycie lecz prędko pomiędzy drzewami postępuje i wkrótce przed wspomnianym stawa mieszkaniem. Nie przyjaźne im światło, jeszcze w niemn nie zagasło, i ostrzega że nie wszyscy śpią jeszcze. Oddalmy się, rzekł ieden z gromady, żeby nas nie spostrzeżono. Ani na krok się nie cofną, rzekł drugi. Nie zapominajcie o tym, że Magdulf tu się znajduje, ozwał się Francisco. Mnieysza o to, odparł pierwszy, kruk krukowi oka nie wykole, przeciętn my go znamy; niezapomni pewnie naszyn przysługi

w pustelnika chacie; a potem, zdaie mi się że nie ostatni raz nas potrzebował. Ostrzegam was więc bracia, że gdyby się porwał na którego, niech chatę pustelnika wspomni, a ta wzmianka wstrzyma niezawodnie dłoń jego. Milcz, przerwał Francisco, za wiele gadasz. A ty za mało, mruknął z cicha Vidlę, bo o sobie tylko myślisz.

Półgodzinne prawie trwało milczenie w gromadzie, i nikt go przerwać nie śmiał; każdy tylko z niecierpliwością poglądał rychło światło zgaśnie, ale długo byliby na to czekali bo Magduf czuwać noc całą postanowił. Pewny już posiadania dwudziestu tysięcy realów, o nich tylko myślał; a mając myśl zaiętą pieniędzmi, mógłże zasnąć? Domyślił się tego zapewne Vidlę, który podstąpiwszy ostrożnie pod samo okno kędy znajdowało się światło, kiwał głową spoglądając na Magdufa, mającego głowę na ręku opartą, z wlepionemi w iedno miejsce oczyma; a potem obszedłszy do koła dom cały wrócił do kolegów mó-

wiać: bracia, moglibyśmy tu'ay stać do jutra, i rękę mielibyśmy tyle w naszych kieszeniach co i teraz mamy, ieżli nie zajmiem się szczerze robotą. Magdus siedzi przy stole, spać widać nie może; musiał się o przeszłości zamyśleć, która zawsze go snu pozbawia i zaręczam wam, że ieżeli bardziéy się w nią zagłębi, to i oka przez całą noc nie zmruży; my z pustemi odeszlibyśmy rękoma. Prócz niego, wszyscy śpią w domu; gdybyśmy się doń wdarli, mógłby zbudzić czeladź, i małą korzyść możebyśmy drogo opłacić musieli, ale użyjemy lepszego sposobu, podpalamy dom i nim pomoc ze wsi przybędzie, my tym czasem iako przyiaciele ludzkości uratuiemy dla siebie część majątku Pana Valverdi. Zgoda, powtórzyli wszyscy, i natychmiast chcieli się zaiąć wykonaniem podanéy myśli. Ale widząc że Francisco stał milczący i przymrużaiąc oczy, zdawał się przyszłe przewidywać wypadki, wstrzymali się; wkrótce uśmiech osiadł na spiekłych iego ustach i przybycie przyiaźnéy zapowiedział myśli. Bra-

cia, ozwał się do nich po nieiakiéy chwili, ponieważ wszyscy śpią w domu prócz iednego tylko Magdufa, ia zapukam do okna, poznavszy mnie niezawodnie mi otworzy; i może zręcznie w krótkiéy rozmowie wybadać go zdołam w które miejsce wszystkie starania nasze zwrócić nam będzie potrzeba. Próżna mowa, przerwał Vidley, szkoda czasu, bracia do roboty!, zaledwie to wyrzekł, iuż w czterech końcach domu ogień podłożony, gromada ukryła się w niezbyt wielkiéy odległości aby mogła iak tylko płomień dom ogarnie, naypierwéy wpaśdź na ratunek i korzystać z powszechnego przestachu i zamieszania; a *Francisco* widząc że iuż przełożenia iego byłyby bezskuteczne, sam ukrył się po za drzewem naybliżéy stojącym. Zaledwie dziesięć upłynęło minut, a podrzucone zarzewie, zanieciło ogień który wkrótce iuż ze wszech stron okropnym zagroził nieszczęściem. Pan Valverdi nieznaną dręczony niespokoynością, która może strasznegu przypadku wróżbą była,

nie spał jeszcze, a uyrzawszy nagle ukazujący się płomień w oknach, zbudził natychmiast żonę i córkę. Ostatnię oddając matką szkatułkę na której był napis „Izaurze w dzień ślubu” rzekł: ustrzeż to przynajmniej przed zagubą, schroń się iak najsprędzěj do chaty rybaka. Przelękniona Izaura zaledwie ranny ubiór zarzucić na siebie zdołała, a posłuszna oycu, wzięwszy szkatułkę, wybiegła nagle przez drzwi które już płomień do koła otaczał, zostawwszy rodziców zajętych wzywaniem ratunku, i wyrzucających przez okno kosztowniejsze sprzęty, w nadziei uchronienia ich od pożaru, gdy tymczasem obmierzła gromada z chciwością je porywała. Magduf zamiast ratowania rodziców swęj przyszłej, ięj samęj, myślał tylko o swoim ocaleniu, a widząc w iednėj chwili zawiedzione wszystkie swoje rachuby, już podłą godną iego duszy myśl przedsięwziął, zerwania wszelkich stosunków, i w tym zamiarze wybiegł z chaty ku wiosce.

Izaura strachem zdięta, niespokoyna o

los rodziców, spieszne lecz drżące stawiała kroki, a lubo płomień daleko oświecał okolicę, zdawało iéy się iednakże iakoby ią ciemność ogarniała, i że ią do koła otaczaia przepaści. Francisco spostrzegłszy wiéy ręku szkatułkę, bardziéy się płaszczem odziewa, z daleka postępuiać za nią okiem bacznie śledzi; i z piekielną radością postrzega że coraz bardziéy oddala się od płonącego domu, a tym samym uwalnia go od obawy świadków. Kobieta, sama, przelękała, zbyt słaby zdaie się stawiać opór iego zamiarowi aby go nie miał dopełnić. Już była blisko chaty rybaka, Francisco lotem strzały rzuca się za nią; chce iéy wydrzeć szkatułkę, Izaura wydaie krzyk, wszystkich sił dobywa, aby się nie dał przemódz podłemu zbrodniarzowi, który zdziwiony tak niespodziewanem odparciem obawiaiać się aby iéy krzyk nie ściągnał iakiéy obrony wte mieysca; porywa ią na ręce i z szybkością w las unosi. Lecz zaledwie się zatrzymał, wystrzał pistoletu obala ich oboie na

ziemię. Przerażony Alberti, on to był bowiem, rzuca się ku nim, podnosi Izaurę, a widząc broczącego się we krwi zbrodnia-
rza, bezsilnego, pewny że go ścigać nie będzie, wzięwszy szkatułkę, omdlałą porywa
w swoje objęcia i unosi do mieszkania Mar-
cella.

Jakaż była jego radość gdy się dowie-
dział że to była córka Pana Valverdi, a
większa jeszcze, gdy się przekonał że bar-
dziej przestach aniżeli lekkie drasnięcie
wyrzału, stał się przyczyną iéy upadku!
Jednakże w godzinę ledwie przy naytro-
skliwszych obudwu staraniach, Izaura przy-
szła do siebie. Jakże tkliwości pełną by-
ła natenczas iéy postać. Smiertelna bla-
dość lica, rozpuszczone sploty włosów,
wznoszące się ociężałe powieki, spoyrze-
nia niepewne i słabo rzucane do koła, ta
krew zwolna płynąca, wszystko to do głę-
bi przeymowało duszę Albertego. Z wzru-
szeniem i zaięciem niepodobném do opi-
sania w nią się wpatrywał, ah cóż zdoła-
łoby natenczas wyrównać jego radości, kie-

dy Izaura po pierwszy raz otworzyła oczy! Zdawało mu się że ogień Niebios przeniknął go całego, to iedno weyrzenie nieznaném mu dotąd przeięło go uczuciem, i połączyło iuż prawie iego życie z życiem Izaury; a z naywiększém wpatrując się w nią zaięciem zdawał się przemawiać: chwila coby pasmo twoiego życia przerwała i moieby zakończyła. To do nowéy pobudziło go troskliwości i niezadługo minęło niebezpieczeństwo. Gdzież iestem? słabym głosem ozwała się Izaura, to wszystko co mię otacza, nieznaném mi się bydz̄ zdaie. W moim mieszkaniu, odpowiedział Marcello, stojący po za iéy głową. Ah to ty dobry panie, rzekła Izaura wyciągaiąc ku niemu rękę, iakby dla wzięcia iego dłoni, ten czyn godnym iest ciebie, tobiem ia to zapewne winna życie. Nie pani, odpowiedział Marcello, lubo chętnie byłbym stanął wiego obronie, ale starość, słabe siły zawiodły moie chęci, młodsze ramię życzeń moich dopełniło. Ten młodzian ocałił ci życie; przydał przedstawiając Alberte-

go. Spoyrzała nań Izaura, niebył to już nowy dla niéy widok, już go oczy widziały wprzódy, już serce mówiło o wdzięczności dla niego, nim usta głos wydać zdołały; iakże ją to cieszyło że jéy serce niezawiodło! Lecz mogłaż godnie podziękować za ten czyn tak szlachetny, i czy zdołaią wiernie usta wyrzec to, co serce podaie. „Dzięki ci Panie” rzekła tylko, lecz te wyrazy z całym wylaniem duszy wyrzeczone, z najmocniejszym wyrazem wdzięczności, z spoyrzeniem nad które dla poznaiącego miłość, niemasz nic droższego, przewyższaiącą nawet postępek iego zdawały mu się nagrodą. Oh iakże w duszy błogosławił tę chwilę co go z mieszkania wywiodła, niemógł nawet złorzeczyć zbrodni, bo iéy był winien poznanie Izaury.

Długie potem panowało milczenie, przez ciąg którego Alberti niewzruszenie iak skamieniały stojąc przy łożu Izaury, niespu-szczał z niéy oczu; postrzegłszy że z lekkiego zadrażnienia wrękę krew płynąc nie przestaie, opatrzył ją starannie, za co mu

spoyrzeniem podziękowała Izaura. Marcello patrząc raz na nią drugi raz na Albertego, wznosił kolejno oczy w niebo, iak gdyby błagał Stwórcy o spełnienie swych myśli. Nieco późniéy widząc że Izaura zupełnie się uspokoiła, rzekł coś z cicha do Albertego, który natychmiast się oddalił.

Po iego odeyściu, Izaura westchnęła, i nagle wzruszenie w całéy postrzedz się dało, potem, kto iest ten młodzieniec? zapytała się Marcella. Jest to przyjaciel Magdufa, odpowiedział tenże z znaczeniem, uważaiąc dobrze twarz Izaury, iakie to imię sprawi na niéy wrażenie. Magdufa? powtórzyła z boleścią Izaura, przyjaciel?... mówisz mój oycze? O dla czegóż on do niego nie iest podobny! przydała z cicha wydaiąc ze łkaniem połączone westchnienie, które wycisnęło z pięknych iéy oczu kilka łez może pierwszych dopiero po wyysciu z wieku dziecinnego. Spozrzegli ie Marcello, ale mógłże wiedziéć co te łzy znaczyły? może wspomnienie

Magdufa ie wyroniło, może obraz iego niepokoiu względem iéy losu? ah ileż cierpień dla przywiązanego do Rozamundy Marcelła! Magduf uwiodłszy Rozamundę, mógł łatwo opuścić ją dla Izaury, tak myślał starzec, albowiem ślub, o którym mu nieszczęśliwa iego córka wspominała, ślub ten złudzeniem okropném bydz sądził. Izaura choćby nawet nie tyle posiadała wdzięków ile Rozamunda, Izaura była bogatą, a Marcello znał serce Magdufa, wiedział ile bogactwo miało władzy nad iego umysłem, i że to iedno dostateczném. by było, do zerwania wszelkich związków z ofiarą która mu z zbytku miłości poświęciła swoją niewinność, i wystawiła się na hańbę. Ilekroć chciał przemówić do Izaury, wspomnienie Rozamundy, iéy nieszczęścia, taką boleścią ścisnęły iego serce, że ięzyk drętwiał w ustach. Widziała to Izaura, i chcąc mu ulgę przynieść, sama rzekła: Oycze, dobroczyńco mój, widzę że cierpisz skrycie; chcesz mi troski wyiawić, pozna- ię to z twoiéy twarzy, ah mów, zaklinam

cię, o cokolwiek się zapytasz, nayszczerzy ci odpowiem. Magduf, rzecze Marcello, po nieiakiéy chwili przybierając postać spokojną, ma zostać mężem twoim Pani? Tego chce mój oyciec, odpowiedziała Izaura. Wola iego zgadzasz się z twém sercem zapytał Marcello? Przyrzekłam szczerze ci odpowiadać — Nie.... To usłyszawszy Marcello, nayżywszą uczuł się przeięty radością; ten wyraz nie, przyiaźną ukazywał mu nadzieię. Dawnoż znasz Magdufa? Od miesiąca, odpowiedziała Izaura. Od miesiąca, powtórzył starzec — i zatrzymał się przez chwilę z oczyma wiadno mieysce zwróconemi, a lekko wstrząsając głową dawał do zrozumienia, że odgadł teraz przyczynę dla czego Magduf Rozamundę właśnie w tym czasie od iego boku oddalił. Chciał iéy ieszcze iedno dać zapytanie, ale przybycie Albertego z Panem Valverdi przerwało tę rozmowę.

ROZDZIAŁ XV.

OYCE! córko! te były pierwsze wyrazy téy sceny radości, i te ieszcze słyszeć się dawały w zobopólnych uściskaniach przywiązanego oycy i tkliwéy córki; lecz ostatnia ucieszona widokiem oycy, o matkę pyta troskliwie. Zasłała z przelęknienia, odparł Pan Valverdi, ale nie lęka się, słabość ta tak iest lekka, że zniknie z dnia powstaniem. Oh droga Izauro! któżby opisać zdołał niepokóy méy duszy, gdy przybiegłszy do chaty rybaka, ciebie w niéy nie zastałem. Wybiegam, każdego pytam się o ciebie — wszyscy milczą — oh okropne przeymowały mię uczucia! Lękałem się aby ci, co mi wszystko prawie wydarli, nie pozbawili mię téy którą nad me życie kocham. Temu cnotliwemu młodzieńcowi, winienem ocalenie ciebie, ah iakże mu zawdzięczyć ten szlachetny postępek zdołam! Lecz dusza tak wspaniała,

czuie to dokładnie że oyciec któremu dziecię wracaia, choćby był Panem skarbow całego świata, niemógłby godnie się wywdzięczyć. Uścisnął go potem Pan Valverdi, zapewniając o wiecznój przyiaźni i wdzięczności. Alberti pomieszany, przeięty radością, sam nie wiedział co mówić i czynić, zdawało mu się bowiem, że on raczój powinien dziękować oycu Izaury, a nieod niego dziękczynienia odbierać. — Marcello z rozrzewnieniem poglądał na ten tkliwy obraz, który w iego umyśle szczęsnój przyszłości dla Rozamundy wydawał się bydź podstawą.

Długo ieszcze radosna trwała rozmowa, którój Alberti ciągle był przedmiotem, gdy nareszcie dzień zwolna powstaiący zaniecił chęć w Izaurze zobaczenia Matki. Spoczniy ieszcze cokolwiek, rzekł łagodnie Pan Valverdi, ia sam do niój pójde; i wkrótce oboie przyydzimy twoię obawę zaspokoić. Pójdź ze mną czcigodny młodzieńcze, przedstawię cię moiěj żonie, przyszłemu zięciowi, iako obroniciela życia

méy córki; niech i oni złożą ci swoje dzię-
 ki. Przebacz mi Panie, odparł z pomie-
 szaniem Alberti, że chce uniknąć tych po-
 dziękowań; niech wprzód spokoyność
 w dom twóy Panie wróci, a wtenczas nie
 omieszka ukazać się w nim Alberti. To
 rzekłszy, uściskał z uszanowaniem Pana
 Valverdi; prosząc aby przed Magdusem
 zamilczał o całym nieszczęśliwym Izaury wy-
 padku, a przynajmniej zmienić nazwisko
 iéy obrońcy. Mam w tym moje przy-
 czyny, przydał nieco później, proszę
 chciey szanować moją tajemnicę, i nieod-
 mawiaj prośbie najżyczliwszego tobie.
 Potem z tkliwością ucałował rękę Izaury,
 a łez niemogąc utrzymać, zrosił niemi iey
 dłoń śnieżną, która wdług wdzięczności
 lekkim udarowała go uściśnieniem. Na-
 koniec pożegnawszy Pana Marcello, który
 mu z cicha zalecił staranie i pamięć o Ro-
 zamundzie, przyrzekłszy iak narychley-
 szą dać mu o wszystkiém wiadomość, wy-
 szedł w zamiarze powrócenia iak nayspie-
 szniey do zamku.

Zaledwie się oddalił, Izaura siedząc obok oycy z wolna na jego ramię przechyliła głowę, i westchnawszy rzekła: drogi oycze, czuję twoją radę, potrzebę spoczynku na kilka chwil, idź do matki, może ona twoiemy żąda pomocy; szanowny Marcello przy mnie zostanie. Dobrze moja córko rzekł Pan Valverdi, dopełnię twoiemy prośby, lecz powtarzam ci bądź spokojną o zdrowie matki; nie słabość iemy wiedzie mię do niemy, ale chęć zaspokoienia iemy troskliwości względem ciebie. Ty mój przyiacielu, rzekł, zwracając mowę do Marcello, nie odstępuy iemy ani na chwilę, tobie powierzam iedyne moje dobro. To rzekłszy, tkliwe dawszy pocałowanie córce, wyszedł, przyrzekając że wkrótce powróci. Marcello w kilka chwil udał się za nim, i zaledwie o kilka kroków zostawili za sobą pomieszkanie, gdy ostatni wstrzymał Pana Valverdi, mówiąc: szkatułka, którą Izaura unosiła z płomieni, jest ocaloną, i w domu znajduje się moim; lecz Panie, posłuchay moiemy rady. Wspomina-

łoś że ci prawie wszystko zbrodnia wydar-
 ła, gdyby więc i ta szkatułka, na której
 napis daie mi się dorozumiewać co w sobie
 zawiera, stała się także zdobyczą występ-
 ku, córka twoja zapewne w posagu przy-
 szłemu mężowi tylko cnotyby przyniosła?
 Prawda, odpowiedział Pan Valverdi, ta
 szkatułka zawiera w sobie to wszystko co
 tylko w gotowiznie posiadałem; dzięki Nie-
 bu że ją ocaliło. Pozwól mi panie dalej
 mówić. Czy znasz dobrze serce tego czło-
 wieka, którego za męża córce przeznaczasz?
 czy przekonałeś się, że nie pieniądze, lecz
 miłość skłania go do tego związku? Tak
 mi się zdaie, odpowiedział nieco zadziwio-
 ny Pan Valverdi. Tak ci się zdaie tylko
 Panie, rzekł dalej Marcello, to nie dosyć
 dla oycy któremu zdaie się tylko że cha-
 rakter przyszłego męża swęy córki iest mu
 znaiomy. Nie, Panie, pozwól mi szczerze
 mówić, winienes przed zezwoleniem na
 połączenie poznać iego sposób myślenia,
 ale poznać bezzawodnie. Ja znam zdala
 Magdusa, i ile domysłać się mogę, miłość

iego dla Izaury nie iest już pierwszą. Ty Panie, od niedawna stawszy się posiadaczem téy majątności nie wiesz zapewne o tém; chciałem cię więc ostrzedz abyś był baczny i pilnie poznawał co kieruje iego zamiarami. Cóż więc mam czynić? zapytał Pan Valverdi, którego mowa Marcella już wniespokoyność wprawiała. Dla dobra własnego dziecięcia, dla spokoyności swoiéy na przyszłość, rzekł Marcello, zmyślić przed Magdufem, że majątność którą posiadasziesze nie zupełnie zapłacona, że zdarzone nieszczęście pozbawiło cię zupełnie możności wyposażenia córki; a ieżeli potem oświadczeniu, Magduf nie zmieni swojego postanowienia, możesz mu bezzwłocznie oddać rękę Izaury i bydz pewnym iéy szczęścia. Nie odrzucay porady szczeréy przyiaźni, i dowiedz się, że to com ci powiedział iest na pewnych wsparte dowodach; proszę cię przytém abyś zarówno iak o Albertego i o moiem niewspominał przed nim nazwisku, tym bardziéy abyś się starał wszelkiemi sposobami zabronić mu przybycia wraz z wami do Izaury. Gdyby zaś ko-

niecznie ją chciał widzieć, powiedzcie mu że w obcym iest domu, nakoniec że w moim domu, a pewny iestem że nie będzie się wam naprzykrzał. Przymierzam ci u słuchać twéy rady, odpowiedział zadziwiony Pan Valverdi, pewny że cnotliwy Marcello, tylko szczęście moje i moiego dziecięcia zawsze ma na celu; teraz powróć do moiéy córki, a ja do żony pośpieszę.

Magduf stanąwszy już po nad rzeką, zastanawiał się co daléy ma czynić, czy opuścić Pana Valverdi, czyli powrócić z kilką ludźmi iakby pod pozorem iż dla wezwania ratunku wybiegł z chaty. Jeżeli mówił sam do siebie, pożar pochłonał to co mié iedynie skłaniało do połączenia się z Izaurą, na cóż się mam żenić? alboż Izaury pragnałem? gdyby ożenienie się tylko było moim celem, mógłbym Rozamundę zaślubić... Rozamundę! powtórzył z głębokim westchnieniem, i zgrzytnął zębami iakby oburzony na własną myśl co mu to imię na pamięć przywiodła. Rozamunda, biedna sierota, mówił daléy, mogłażby zo-

stać żoną moją! ięć dzieci miałyżby się stać dziedzicami moiego majątku. Tu wstrzymał się nagle — moiego majątku! powtórzył głos sumienia przed którym niema tajemnic, i zwrócił oczy iakby niemógł patrzeć na obecnego świadka. Tym bardzięć, zawołał późnięć przeświadcziąc niby siebie, bogatą powinienem poiąć żonę, bo gdyby kiedy... lecz on umarł iuż zapewne, i nikt prócz Sebastiana niezna prawego posiadacza zamku którego przywłaszczyłem się stałem. Lecz co mówię!... cóż się ze mną dzieie?... i obłąkane do koła z niespokoynością zwracał oczy, bacząc pilnie czy go kto nie podsłuchał. Nie próżna była iego obawa, widzi iak ktoś płaszczem okryty, zbliżaiąc się doń ostrożnie przyglądał mu się z pilnością. Kto iesteś zawołał przelękniony Magduf — Ah to ty Panie? — Sebastiano! Ja sam — Cóż znaczy to przebranie, to uzbroienie? — Czy nie domyślasz się Panie, co mię w tym ubiorze tutaj sprowadziło? — Nie, bynajmnięć, miałżebyś należeć? lecz nie, to

bydź niemoże. Dla czegoż, przerwał z uśmiechem Sebastiano, należałem do tych, którzy równie iak ty Panie chcą mieć coś więcej nad to co posiadają. Milcz, bo iedno słowo moje zgubić cię może, ta bezczelna zuchwałość iuż kilka razy ponawiana przykrzecz mi się zaczyna, i przysięgam że iezeli raz ieszcze ją ponowisz, rozłączemy się z sobą. To nie tak łatwo nastąpi, odparł Sebastiano, wiesz Pan że i ia także nie byłem ślepy i głuchy, i że dobrze pamiętam to co mi korzystać iakaś w przyszłości przynieść może. Ja milczę dotychczas, spodziewam się tedy że i Pan milczenie zachowa, bo niewiem kto z nas ma więcej do stracenia.

Odwrócił się Magduf, a oburzony w sobie że go zbrodnia z tak nikczemnym związała człowiekiem, dręczył się skrycie, i milczał. Sebastiano zaś z pod oka tylko spozierał na Magdufa, a poznając iak dzielną ma nad nim władzę, cieszył się iuż zawcześniej przyszłym zniey plonem; i gdy tamten truł się nieledwie rozpaczą, czując

ieszcze i swoją hańbę i poniżenie; ten uśmiechał się na boku, nie zważając nawet na ranę co go krwią obficie się toczącą broczyła. Milczeli długo obadwa, przeciwnymi zajęci uczuciami, nareszcie ozwał się rozgniewany Magduf: Sebastiano, wracay natychmiast do zamku, powiedz Albertemu, że ważne interesa ieszcze mię na nieiaki czas w oddaleniu od niego zatrzymują. Niema tu już bez tego co robić, odpowiedział Sebastiano, i nicem nie zyskał, i wystrzał pistoletu drasnął mię nie źle w ramię. Ranionyś, zapytał Magduf? Raniony trochę odpowiedział Sebastiano, z dobrą uchodziłem zdobyczą, już iéy pewny nawet byłem, piekielne zrządzenie sprowadziło kogoś, i wszystkim utracił. Jaktó? zapytał znowu Magduf. Panna Izaura, unosiła iakąś szkatułkę, ia za nią dognałem, a porwawszy ją na ręce, już byłem w lesie, już pewny prawie posiadania téy szkatułki, która może cały maiątek Valverdego zawierała, gdy wystrzał z pistoletu obalił mię o ziemię. —
Nie-

Niewiem co się stało z Panną i z szkatułką, bo gdym przyszedł do siebie, nicem nie widział i od nikogo dowiedzieć się o dalszym wypadku niemogłem. Nie wiedziałeś, zapytał Magduf, tego co strzelił do ciebie? Ja patrzałem tylko w szkatułkę, odparł Sebastiano — lecz już dzień wschodzić zaczyna, więc nocne ptaki do *legowisk* wracać powinny, i Panu radzę to uczynić, wróćmy razem do zamku. — Milcz! przerwał do najwyższego stopnia rozniewany Magduf, i bądź posłuszny. To rzekłszy wrócił do wioski, a Sebastiano spuściwszy na oczy kapelusz i zasłoniwszy się płaszczem, wyciągnął zatopioną pod krzewem małą łódkę i wylawszy z nięć wodę iak najszybciej, wsiadł i lotem strzały przebywał wód płaszczyznę.

Gdy Magduf przed chatą ogrodnika stanął, już tylko palające zastał ognisko. Ogląda się do koła, żadney znaiomęć nie-
sposstrzega twarzy, cieszy go to, będzie mógł bowiem łatwięć kłamstwo, barwą szlachetności przyodziąć. Dowiaduje się

że Pani Valverdi znajduie się w chacie rybaka, że Panny Izaury pobytu wysledzić nie mogą—Cóż teraz mam czynić? rzekł sam do siebie, idąc do chaty rybaka. Sebastiano mówił mi że obrońca Izaury stał się panem szkatułki przez nią z pożaru unoszonéy. Któż iest tym obrońcą? może nikczemniejszy ieszcze od niego złooczyńca?.. a tak Izaura!... ale nie, może to był sam Valverdi, może próżne obawy. Cóżkolwiek bądź, nie mogę daléy nieprzekonawszy się działać, i ieżeli Valverdi nie zmieni swojego przyrzeczenia, Izaura moią bydz musi, w dzień ślubu..... ślubu!.... powtórzył, i zadrżał cały — krew w żyłach się ścięła — ten wyraz przywiódł mu na pamięć Rozamundę, ślub z nią zawarty. — Przez chwilę stał osłupiały, oczy w iedno wlepione mieysce, a wyraz przestachu maluiący się na iego twarzy, zdawał się okazywać że wszystkie zbrodnie stanęły mu przed oczy.

Długoby może trwał w tym okropnym stanie, gdyby go Pan Valverdi nie był

z niego wyprowadził. Cóż ci to jest? Magdufie, zapytał go zdziwiony, zaczynając coś okropnego w twarzy jego dostrzegać... Tak się bowiem dzieje w istocie, że kiedy nas kto względem kogo uprzedzi, to natychmiast w jego sposobie postępowania, w jego mowie, twarzy, dostrzegamy to, co dawniej uchodziło naszej bacznosci—Lecz twarz Magdufa w tej chwili niezawodnie każdego by zwróciła uwagę, okropność na nią się malująca, nie mogła być niepostrzeżoną. Magduf wywiedziony z strasznego osłupienia zapytaniem Pana Valverdi, nagle chciał zmienić je w spokój, i uśmiechając się odpowiedział przerywanym głosem. Nic, nic, Panie Valverdi, zamyśliłem się o nieszczęściu..... lecz gdzież jest Izaura? — W bezpiecznym miejscu, odparł Valverdi, właśnie idę od niej. Żona moja jest w chacie rybaka, proszę cię do niej z sobą. — Jak najszybciej, odparł Magduf, usiłując przybrać postać spokojną, która tym większe podejrzenie wzbudzać za-

częła w Pann Valverdi. Pamiętny ostrzeżeń Albertego i Marcella, zamilczał o nie-szczęśliwym wypadku córki, i chronił się iak najstaranniey wymienienia nazwisk o-budwu.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZÉY.



INSTYTUT
BADAŃ FILTRACIOWY PAN

Biblioteka

ul. Włocławska 10, 72-000

91-000 Warszawa

Tel. 26-68-88, 26-52-31 w. 42

F
2815
1